Nr. 35. **PRACA** Rok III.

Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

Urzędowy organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek.

Telefon Nr. 295. *Właściciel i Wydawca: Marcin Biedermann.* Adr. tel.: „Praca“ Posen.

Wszelkie korespondencye należy adresować: „Do Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ulica Nr. 38.

Rozwój produkcyi cukru.

I.

Cukier był w starożytności zaledwie Europie znanym, gdyż dopiero na trzy wieki przed Chrystusem greccy i łacińscy pisarze i naturaliści wzmiankują o nim, a Pliniusz dodaje, że go nazywano solą indyjską i że pojawiał się tylko na stołach możnych, i to jedynie podczas największych uroczystości w kraju. Dopiero w późniejszych wiekach rozkwitu chrześciaństwa, zdaje się z otworzeniem drogi do Indyi za czasów wojen Saracenów i wędrówek misyjnych Krzyżaków do Chin celem szerzenia wiary chrześciańskiej przekonano się, że Chińczykom znaną już była produkcya i fabrykacya cukru, lecz długo ukrywaną zabobonnie i z kraju niewypuszczaną; co wszelako dowodzi, że i w państwie niebieskiem nie była tak rozpowszechnioną, aby zbywało cukru na eksport. Z owych jednak czasów już pierwsze plantacye trzciny cukrowej pojawiły się na wyspie Sycylii, a Wenecyanie dopiero około r. 1250 na większą skalę rozwinęli tę produkcyę u siebie do tego stopnia, że cukrem już zaopatrywać mogli sąsiednie kraje. Hiszpania bowiem przejęła tę produkcyę od Wenecyan i zdołała ją podnieść u siebie tak wysoko, że przestraszeni ekonomiści krajowi przypuszczając upadek innych produkcyi w kraju, przyczynili u rządu zakaz sprowadzania nadal trzciny cukrowej, który spowodował nietylko upadek tego przemysłu, ale zarazem naraził Hiszpanię na ogromne straty skutkiem niemożności eksportowania cukru do wszystkich dalszych krajów Europy, naówczas wcale jeszcze nieznanego.

Około początku 18-go wieku Francya zdołała zaaklimatyzować trzcinę cukrową z Indyi Zachodnich z okolic St. Domingo (Haiti) w posiadłościach swoich Luizjanie nad brzegami południowemi Stanów Zjednoczonych i stała się odtąd pierwszą słodzicielką życia własnych mieszkańców, a z czasem coraz obficiej całych Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Za przykładem Luizjany poczęto także produkować cukier w Alabamie z trzciny krajowej tego Stanu, który wszakże wystarcza zaledwo na pokrycie potrzeb tego kraju. W górę ujścia Missisipi i dalej na prawym brzegu tej rzeki o 112 mil angielskich od Nowego Orleanu aż do zatoki Meksykańskiej, mianowicie w powiecie Atakapas nad rzeką Teche, znajdują się pyszne plantacye trzciny cukrowej.

Na północ zaś Stanów Zjednoczonych spotykać można całe laski i borki, ogrodami cukrowemi zwane, drzewa klonowego-cukrowego — Acer Sacharinum, z którego tamtejsi mieszkańcy i osiedleńcy zdobywają cukier w bardzo pojedyńczy sposób. Wydrążają małe, najwyżej pół cala głębokie dziurki w drzewie klonowem, zasadzają w nie cewki lejkom podobne, któremi w podstawione na dole naczynie spływa sok cukrowy, a zmieniając napełnione naczynia próżnemi, zlewają sok w kotły, pod któremi rozpalają mocny ogień i gotują dobrą godzinę aż do stopnia zgęszczenia się soku w syrop, poczem wlewają do form, w których stygnie, twardnie i przechowuje się następnie długo. Soku surowego przechowywać nie można dłużej nad 24 godzin, gdyż później zamienia się w ocet. Prostej tej eksploatacyi dokonują na wiosnę od początku aż do połowy Marca, gdy panują nocne przymrozki, a słońce przyświeca bystro i przygrzewa mocno wśród dni pogodnych.

Na wschodzie Stanów Zjednoczonych w Kalifornii geolog B. Blake poznał dwa rodzaje cukru znanego Indyanom, zamieszkującym zachodnie wybrzeża Północnej Ameryki. Na powierzchni liści trzciny krajowej, rosnącej na nizkich, mokrych miejscach, osadzający się słodki sok dowodzi obfitej zawartości cukru w tej roślinie, którą indyjskie pokolenie Tefu sprząta, kraje w drobne kawałki i tłucze na miazgę. Oddzielając potem wszelkie drobne kawałki trzciny, włókna, stłacza miazgę w bochenki kształtu zwojów do 10 funtów ważące i owijając mocno łykiem roślinnem przechowuje je do domowego użytku. Ten rodzaj cukru nazywają „panoche.“ W naturalnym stanie nie jest krystalicznym ani ziarnistym, raczej podobnym do spalonego miodu lub karmelu. Gdyby był oczyszczony i przerafinowany wydałby niezawodnie bardzo piękny i użyteczny produkt cukrowy.

Drugi rodzaj cukru produkują krajowcy z sosny cukrowej Pinus Lambertiana, rosnącej licznie na zachodniej pochyłości gór śnieżnych Sierra Nevada w Kalifornii, wykręcając i wysączając go podobnie jak z klonu cukrowego, poczem stężając go na ogniu i formując, przechowują w naczyniach do całorocznego użytku. Cukier sosnowy topnieje już pod wpływem ruchu ciepła zwyczajnej temperatury powietrza, nie różni się od cukru klonowego, a wyparowany z wilgoci podobny jest do cukru trzcinowego, kształtu okrągławych, ziarnistych grudek, jużto zupełnie białych, jużto brunatnych zapewne od więcej ognia. Za pomocą węgla z kości daje się wybielić, a za pomocą eteru skrystalizować, jest czystym i mocno słodkiego smaku, lepszego i słodszego niż cukier „panoche“, a bardzo twardym i czystym, gdy ponownie eterem się skrystalizuje. Wszystkie wszakże dotąd przytoczone źródła i plantacye trzciny cukrowej nie są w stanie wystarczyć więcej, jak na pokrycie własnych i sąsiednich, obszarem i ludnością potężnych Stanów Zjednoczonych, i jakkolwiek aż do najnowszych czasów, coraz więcej Stanów Ameryki usiłuje rozszerzyć swoje plantacye i pomnożyć źródła eksploatacyi cukrowej, aby zalać eksportem Europę, jak bywało dotąd wszelkiemi innemi krajowemi produkcyami, to jednakowoż długie jeszcze lata, nawet wieki, Europa nie ma potrzeby obawiać się w tym kierunku amerykańskiej konkurencyi; natomiast Europa przez pomnożenie źródeł własnych i udoskonalenie się nietylko w sposobach fabrykacyi,

ale i w ilości tańszej produkcyi cukru zaważyłaby niemylnie na targach cukru w Ameryce.

Sigma.

Prawo pszczoły w kodeksie cywilnym.

Hodowcy i lubownicy pszczół przeczytają może z zajęciem o przepisach, tyczących się naszych małych zbieraczy miodu. Motywy prawa cywilnego wykazują, że szczególne właściwości niektórych domowych lub oswojonych zwierząt wymagają policyjnych przepisów co do trzymania tychże zwierząt. Dotyczy to głównie przepisów, wydanych dla opieki nad osobą i własnością, np. przepisy policyjne co do trzymania psów, gołębi, drobiu i t. p. Z przepisami temi spotykamy się bardzo często.

Wielkiej doniosłości są przepisy kodeksu cywilnego, do których należą te, które się tyczą nabycia i straty roi pszczół, w §§ 961—964.

Paragrafy te brzmią dosłownie, jak następuje:

§ 961. Skoro rój pszczół wylatuje, staje się rzeczą nie mającą pana, jeżeli właściciel natychmiast nie spieszy za nim, albo, jeżeli przestaje go ścigać.

§ 962. Właściciel roju może, goniąc go, wejść na obce terytoryum. Jeżeli rój wszedł do niezamieszkałego ula lub kószki, to właścicielowi roju wolno, w celu ujęcia go, ul otworzyć i węzę wyjąć albo wyłamać. Szkodę wyrządzoną musi wynagrodzić.

§ 963. Jeżeli się połączy kilka roi rozmaitych właścicieli, to ci, którzy za swemi rojami spieszą, stawają się współwłaścicielami schwytanego całego roju. Współudział stanowi liczba ujętych roi.

§ 964. Jeżeli rój wszedł do obcej, zamieszkałej kószki, to właściciel pszczół, które się już w tej koszce znajdowały, staje się właścicielem tego roju, który się do kószki wprowadził. Prawo dotychczasowe własności i wszelkie inne prawa ustają.

Owe 4 paragrafy odnoszą się, jak to zaraz poznać można, do oswojonych pszczół, mających już właściciela, nie zaś do dzikich, np. do tych, które mieszkają w spróchniałych pniach drzew. Do tych zastosować można przepisy te, które się odnoszą do rzeczy nie mających właściciela. Każdy, kto je zabiera, staje się ich właścicielem. I tak jak z owemi dzikiemi pszczołami, dzieje się z rojem oswojonych pszczół, jeżeli właściciel nie goni go natychmiast, i jeżeli albo dobrowolnie, albo z powodu jakiej przeszkody, np. rzeki, jest zmuszonym ścigania zaniechać. Nie ma też tu żadnej różnicy, czy rój odłącza się od roju macierzystego, czy cały rój opuszcza mieszkanie.

Właściciel broni więc wtedy tylko swego prawa, jeżeli „natychmiast“ udaje się w pogoń za zbiegami. Co prawo pod „natychmiast“ rozumie, tego wyraźnie nie określa, stosownie bowiem do okoliczności każdego pojedyńczego wypadku inaczej sprawę tę sądzić należy. Nie znaczy to naturalnie, aby pomiędzy ucieczką a pościgiem nie miało upłynąć ani chwili czasu, znaczy to raczej tyle, że bartnik nie powinien daremnie tracić czasu, aby, spostrzegłszy ucieczkę, udał się zaraz w pogoń. Inaczej bartnik, znajdujący się np. podczas rojenia na polu, poniósłby ciężką stratę, gdyby mu ktoś trzeci powiedział: „nie goniłeś roju „natychmiast“, dla tego zabrałem go sobie, podług § 961 kodeksu cywilnego mam wszelkie do tego prawo.“ W pogoni za rojem znajduje się właściciel wtenczas jeszcze, dopóki robi jakiekolwiekbądź starania w celu pochwycenia roju, chociaż nawet nie zna obecnego miejsca pobytu roju. Dodać też należy, że podług § 903 kodeksu cywilnego wolno właścicielowi postępować z swoją własnością czy to ruchomą, czy nieruchomą, dowolnie i wykluczyć innych od wszelkiego wtrącania się. Ten przepis uczyniłby prawo bartnika, nadane mu prawem ścigania roju, iluzorycznem, gdyby właściciel sąsiedniego lub dalszego terytoryum, powołując się na ten § 903, chciał mu zabronić wstępu na swoje terytoryum, w celu gonienia roju.

Dla zapobieżenia temu ustanowiono § 962: Właściciel roju może, goniąc rój, wejść na cudze terytoryum — ma prawo do tego, a sąsiad lub każdy trzeci *musi* mu na to pozwolić. Jeżeli jaki złośliwy lub nieprzyjazny sąsiad chce bartnikowi wstępu zabronić, to bartnik może się powołać na § 229 kodeksu cywilnego. Paragraf ten przepisuje, że ten, kto usuwa opór zobowiązanego do znoszenia jakiejś czynności, nie postępuje bezprawnie, jeżeli pomocy policyjnej i t. p. zawczasu wezwać nie może, i jeżeli bez natychmiastowego działania istnieje niebezpieczeństwo, że wykonanie zamiaru stanie się albo niemożliwem, albo utrudnionem; bez tego przepisu byłoby gwałtowne wtargnięcie w posiadłość innego wykroczeniem przeciwko § 240 kodeksu karnego i możnaby je uznać za zakłócenie pokoju domowego (§§ 123, 124).

Prawo bartnika idzie jeszcze dalej: wtargnięcie na obce terytoryum jest mu i wtenczas dozwolone, jeżeli rój wszedł w obcą, próżną kószkę. Wolno mu ją otworzyć i węzę wyjąć lub wyłamać. Gdyby właściciel kószki chciał temu przeszkodzić, to bartnik może użyć samopomocy.

Jeżeli właściciel roju nie ściga, to rój nie ma pana, i każdy może go sobie przywłaszczyć. Ale wtedy nikt nie ma prawa wchodzenia na obce terytoryum w celu zabrania roju.

Właścicielowi terytoryum wolno trzeciemu wzbronić wejścia albo nie. Prawo pruskie przepisywało, że kto w zamiarze schwytania takich pszczół wchodzi na obce terytoryum bez wiedzy lub woli właściciela, ten musi mu na żądanie schwytany rój oddać bez żadnego odszkodowania. Kodeks cywilny przepisu tego nie ma. Skoro kto schwyci rój, nie mający właściciela, czy to na obcem terytoryum, czy bez wiedzy i woli właściciela jego, czy nawet wbrew jego zakazowi, ten może sobie pszczoły zatrzymać bez wszelkiego odszkodowania.

Tyle więc, jeżeli pszczoły wejdą do kószki próżnej, lub na obce terytoryum, inaczej jednak ma się rzecz, jeżeli rój wejdzie do kószki zamieszkałej. Wtedy prawa właściciela roju ustają, właściciel zaś kószki zamieszkałej otrzymuje nieraz bardzo pożądany podarunek. Pierwotnemu właścicielowi roju nie potrzebuje nic za to dać i bogaci się sam cudzym kosztem.

W § 963 czytamy jeszcze, że jeżeli kilka roi, należących do rozmaitych właścicieli połączy się i wyleci razem, to należą one do tych, którzy je gonią, ci zaś, którzy pogoni zaniechają, zrzekają się wszelkiej do pszczół pretensyi na korzyść goniących. Współposiadania roi nie stanowi wtedy wartość ich, tylko ilość, jeżeli więc np. złączyły się 3 roje a tylko dwóch bartników ściga je, to każdy ma prawo do $1^1/_2$ roja, bez względu na to, czy rój jednego był jeszcze raz tak silnym, jak rój drugiego.

Nie można tu naturalnie przytaczać wszystkich przepisów, jakie kodeks cywilny zawiera, a w jakich pszczoły ważną odgrywają rolę. Przypominamy to tylko jeszcze, że pszczoły wielką szkodę wyrządzić mogą kąsaniem, i że zabić mogą nietylko zwierzęta, ale i ludzi. Podług zaś § 833 kodeksu cywilnego jest za wszelkie poszkodowanie zdrowia lub rzeczy odpowiedzialnym ten, kto zwierzę, wyrządzające ową szkodę, trzyma. Ten musi też wszystko wynagrodzić.

Ale my chcieliśmy tylko czytelników zapoznać z przepisami kodeksu cywilnego, tyczącemi się nabycia i utraty własności pszczół.

Prawnik.

Środki pomocnicze w gospodarstwie.

Każdy spieszy dziś z dobremi radami „uciśnionym rolnikom.“ Niektóre z tych rad są istotnie nie złe, ale nie zawsze i nie wszędzie można je wykonywać.

— Jeżeli uprawa zboża nie opłaca się, — mówi jeden, — to hodujcie bydło, świnie i drób!

Bardzo dobrze, tylko że i hodowla bydła dochodzi wnet do końca. Tyle słomy, ile potrzeba na podściełki, musi przecież mieć każdy rolnik, bo słomy nie zawsze można zastąpić podściełką leśną, torfową, trocinami i t. p.

— Używajcie więcej nawozów sztucznych — radzi drugi.

Owszem, tylko że często nie ma pieniędzy na zakupienie ich, a zresztą wszelkie nawozy sztuczne są jedynie środkiem pomocniczym. Główną rzeczą jest zawsze nawóz stajenny, jeżeli pola nie mają być zajałowione.

— Bądźcie oszczędnymi i wróćcie do dawniejszej skromności! — woła trzeci.

Jest to bardzo dobra rada, wogóle jednak żyje rolnik oszczędniej, niż n. p. robotnik w fabryce. We wszystkich stanach zwiększają się wymagania coraz to więcej, każdy jednak przyznać musi, że gospodarze wiejscy mają ich najmniej. Mówimy tu naturalnie tylko o właścicielach małych posiadłości. Patrząc nieustannie na takie gospodarstwa wiejskie, myśli się mimowoli, że pod niejednym względem powinno się to zmienić na lepsze. Przyjrzyjmy się tylko bliżej pierwszej lepszej wsi.

Tu i owdzie widać pod gołem niebem stosy chróstu lub drzewa, niezakryte, wystawione na śnieg i deszcz, a wieśniak

bierze z nich tyle, ile mu właśnie potrzeba, nie zważając na to, ile drzewo traci tym sposobem na sile opałowej. Czy nie możnaby wystawić z kilku desek jakiej szopy, aby chróst i drzewo leżało sucho? Idźmy dalej. Na drodze widać bardzo wiele mierzwy końskiej i bydlęcej. Nie wygląda to wcale ładnie i porządnie, pierwszy deszcz spłócze nawóz, który na zawsze dla pola jest straconym. Czy nie mógłby wieśniak wysłać dzieci z małemi taczkami i rydelkiem, i kazać im zebrać ów kosztowny nawóz? Niejeden umierzwiłby tym sposobem ogródek zupełnie dostatecznie, a dzieci uczyłyby się od młodości pracować łatwo, a użytecznie.

Wejdźmy teraz do chlewa. Czyż ten wilgotny, duszny i ciemny kąt nie jest raczej miejscem męczarni dla biednych zwierząt, nie mających nawet suchej podściełki? — Świnie lubią się tarzać w szlamie, — mówi wieśniak. Nikt jednak nie uwierzy, aby użyteczne to zwierzę nie potrzebowało koniecznie światła, powietrza i suchego legowiska.

A teraz obora. O, jakie to okropne miejsce! Nizkie, ciemne, wilgotne, a na posadzce nie ma suchego miejsca, na którem by człowiek mógł bezpiecznie stanąć. Nie można się więc też dziwić, że zwierzęta chorują i marnie wyglądają. Kto już raz oborę, albo chlew buduje, temu nie powinno zależeć na kilku oknach, deskach i cegłach! Ale wszystko to pewnie na nic się nie przyda, i w przyszłości będą wieśniacy stawiać zupełnie takie same ciemne i wilgotne nory dla bydła, jak dotąd!

A teraz na zakończenie jeszcze jedno. Tu i owdzie wycinają wieśniacy krzewy, które nikomu w drodze nie stoją. Na wiosnę palą je, i nieraz widać ognie na polach lub nad drogą. Dlaczego to? Bo najpierw krzak głogu, jeżyn, ciernia i t. d. wcale przecież nie zawadza, czemu go więc niepotrzebnie niszczyć? Jest to bezmyślna brutalność, a nadto nie trzeba zapominać, że w krzakach tych gnieżdżą się ptaszki, które łowią tysiące szkodliwych owadów i rozweselają swym śpiewem serce rolnika.

Agronom.

O młóceniu owsa.

W ostatnich czasach uskarżają się piwowarzy na owies, jaki im dostawcy sprzedają, powodem zaś złego jest sposób wymłacania owsa młockarniami. Ziarnka bywają uszkodzone i to albo są przecięte na pół, albo wymłócone za krótko. Końce tych ziarnek są zbyt krótko odcięte, tak, że łatki kiełkowe zupełnie są odkryte. Ziarnka rozpołowione nie są jeszcze z stanowiska technicznego, tak bardzo szkodliwe, ponieważ można je tryerami wydzielić, zanim owies zostaje namoczonym do słodowania. Ale za krótko wymłóconych ziarnek nie można wydzielić z zdrowego owsa, trzeba je więc także namoczyć, słód zaś z takich ziarnek nigdy nie jest dobry. Pomimo, że kiełki ich nie są zniszczone, to jednak wierzchnia łupinka jest uszkodzoną, podczas fermentowania wytwarza się pleśń i słód traci wiele na wartości.

Rzeczoznawcy twierdzą, że wszystko to jest winą nieumiejętnego używania młockarni i niewątpliwie mają słuszność. Zwracamy tu głównie uwagę na zwyczaj kładzenia większej ilości snopów, niż ich maszyna może przerobić, każdy bowiem pragnie młockarnię o ile możności wyzyskać. Niektórzy kładą też wiązki tak, że w środku jest ich pełno, a po obydwóch stronach obraca się wałek próżny. Że takie przeładowanie wywołuje rozmiażdżenie ziarnek, to jest zupełnie jasnem.

Najlepiej byłoby zaprowadzić automatyczne ładowniki. Ładownik czyli nakładacz taki kosztuje tylko 60—70 marek; nie jest to więc wielki wydatek, a korzyści bardzo znaczne.

Piwowarzy angielscy oświadczyli już jednozgodnie, że tak źle wymłóconego owsa kupować nie będą, a o ile nam się zdaje, to i piwowarzy niemieccy pójdą wkrótce za ich przykładem.

Uważamy sobie przeto za obowiązek zwrócenia na to uwagi naszych rolników.

Praktyk.

Zioła lecznicze

rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzanie, suszenie i przechowywanie.

Opisał

Tadeusz Śniegocki.

(Ciąg dalszy.)

Bobrek trójlistny.
Bobownik. Trojan wodny.
Trifolium fibrinum.
Menyanthes trifoliata.

Korzeń czołgający się, długi, obrączkowany, włosienkowaty.

Ogonek liściowy wyrasta wprost z korzenia, a na wierzchołku tegoż umieszczone są trzy równe liście mięsiste, lśniące, wielkości i kształtu kurzego jaja.

Szypułka kwiatowa do 2-ch stóp wysoka, wyrasta także wprost z korzenia i jest zwykle pochewkami liściowemi z rzadka pokryta; z wierzchołka pręta wyrastają kwiatki pojedyńcze, różowobiałe, wewnątrz wełnistym włoskiem porosłe, w rzadki kłos ułożone.

Rośnie na łąkach mokrych i w miejscach błotnistych.



Trifolium fibrinum.

Zapachu nie ma; smak gorzki, bardzo ostry.

Sprzątać należy, skoro pączki kwiatu zaczną się rozwijać, wyrywając liście z ogonkami i całą szypułkę kwiatową.

Osuszywszy wprzód na dworze z wody, suszyć do reszty w miejscu ociemnionem i przewiewnem, najlepiej pod dachem.

Dobrze wysuszone przechowywać w pudłach, lub odstawiać zaraz do aptek.

Borówka Czernica.
Jagoda czarna.
Vaccinium Myrtillus.

Krzewik ten, do $^1/_2$ łokcia wysokości dorastający, jest u nas w borach sosnowych, osobliwie nie zbyt suchych, dość pospolitym. W niektórych lasach zajmuje nawet wielkie przestrzenie.

Korzonki ma drobne, drzewiaste, trwałe.

Łodyga gałęzista, także trwała.

Liść dość gęsto na gałęziach łodygi osadzony ma kształt podłużno jajowaty, w końcu cokolwiek węższy, ząbkowany, żylasty, na zimę opada.

Kwiaty na osobnych szypułkach z czubków gałązek się zwieszające, białawo-różowe lub czerwone, okrągłe, przy otworze cokolwiek zwężone, pięciu odgiętemi ząbkami zakończone.

Jagody błękitno-czarne, pełne drobnych ziarnek nasiennych, służą w stanie surowym jako smaczny i zdrowy pokarm, gotowane jako zupy, a ususzone w ciepłym piecu potrzebowane bywają w aptekach.

Brodawnik mleczny. Mlecz.
Leontodon Taraxacum.

Korzeń pionowy, okrągły, zwykle wielogłowiasty, trwały; zewnątrz ciemnożółty, wewnątrz mięsisty, biały.

Liście wyrastają z korzenia obficie i rozkładają się na około korzenia na ziemi; są podłużne, głęboko wcinane i ząbkowane, świecące, gładkie, przy ogonku węższe.

Kwiat osadzony na okrągłej, wewnątrz próżnej, przezroczystej szypułce, wyrastającej wprost z korzenia; główki pyłkowe, zrosłe, listeczki pojedyńcze, dwupłciowe, żółte.

Dno owocowe nagie, po okwitnieniu pokryte owocem, z piórkowatą koronką, która tworzy kulę puszystą.

Roślina bardzo pospolita, na odłogach, pastwiskach i łąkach, jest bardzo dobrą paszą dla krów dojnych.

Wszystkie części tej rośliny zawierają dużo białego, gęstawego soku.

Świeżo wykopany korzeń z liśćmi i kwiatem, dobrze oczyszczony z piasku i kurzu, kupują, lecz tylko w większych ilościach, hurtowne składy apteczne i wyciskają z nich sok na niektóre lekarstwa potrzebny.

Bylica Piołun.
Artemisia Absinthium.
Absinthium officinale.

Łatwo go poznać po listkach spiczasto palczastych, delikatnym białym meszkiem pokrytych i smaku gorzkim, bardzo ostrym.

Rośnie na suchych kamienistych miejscach i znany jest powszechnie.

Sprzątać należy, gdy jest w pełnym kwieciu, co w miesiącach lipcu i sierpniu następuje. Zrywać cienkie boczne łodygi z liściem i kwiatem, wysuszyć w cieniu, zapakować w blaszane, szczelnie zamknięte pudła lub puszki i w suchem przechowywać miejscu.

Rozmnażać można piołun, zasiewając nasienie świeże, przesuszone w jesieni tegoż roku na ziemi żwirowatej, kamyczkowatej, wapiennej, suchej. Rolę potrzeba tylko lekko poruszyć, zasiać najlepiej w rządki na stopę odległe, a w latach następnych raz poraz opleć, a przez długie lata piołun z miejsca tego sprzątać będzie można.

Stare łodygi trzeba corocznie na wiosnę zerznąć o kilka cali nad ziemią. Doświadczenie wskaże najlepiej, jak wysoko stare łodygi zżynać.

Chaber bławatek.
Modrak.
Centaurea Cyanus.

Piękny ten kwiatek polny bywa czasami plagą dla rolników, gdy jako chwast nieznośny rozpanoszy się w zbożu i wzrost jego przytłumia. Nasienie modraku leży często po kilka lat w ziemi niekiełkując, lecz za to gdy dla niego nadarzy się sprzyjająca pora, a uprawa roli będzie nie dość staranną, skutecznie chwasty wytępiającą, wyrasta w zbożu bujnie i bardzo jest niepożądanym sąsiadem.

Kwitnie od czerwca do końca lata i dojrzewa stosownie do pory po 3 do 5 tygodniach.

Sprzątać kwiatki po zupełnem rozwinięciu się błękitnych rureczek w czasie pogodnym, rureczki te wyrywać z kielicha suchemi palcami i suszyć w cieniu rozłożone na czystem białem płótnie, lub na białej bibule.

Gdy dobrze doschną, co w czasie suchym i pogodnym po kilku już następuje dobach, zsypywać do czystych i dobrze wysuszonych blaszanych puszek i szczelnie przykryte przechowywać w miejscu suchem lub odstawiać zaraz do aptek.

Chróścina jagodna.
Niedźwiedzie grono.
Arbutus Uva Ursi.
Arctostaphylos Uva Ursi.

Jest to drobna krzewinka, która rośnie w lasach iglastych na ziemiach piaszczysto-torfiastych, dużo wilgoci zawierających.

Korzonki gałęziste, trwałe, szeroko się pod powierzchnią ziemi rozchodzą i wypuszczają dość gęsto łodygi długie, czołgające się z wielu drobnemi w górę się wznoszącemi łodyżkami.



Arbutus Uva Ursi.

Z łodyżek tych wyrastają dość gęsto liście drobne, grube, woskowate, odwrotnie jajowe, z wierzchu ciemnozielone, lśniące, od spodu bledsze, gęsto żyłkowane, o brzegach gładkich.

Liście o smaku cokolwiek gorzkim, lecz nie przykrym, zapachu nie mają.

Kwiatki drobne, kuliste, umieszczone są w gronkach na końcach gałązek, mają koronę zieloną, purpurowo kreskowaną.

Listki można obrywać przez całe lato, lecz tylko podczas pięknej pogody, suszyć je w cieniu w miejscu przewiewnem, a wysuszone dobrze przechowywać, lub odstawiać do aptek w szczelnych pudłach drewnianych.

Przy sprzątaniu uważać pilnie, aby nie domięszywać liści borowki, bagna, czernicy i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drobne wiadomości.

Hodowla bydła.

Mierne używanie krów do roboty służy im bardzo dobrze. Krowy, które bywają raz po raz odprzęgane, podlegają mniej zapaleniu nóg, niż takie, które ciągle stoją w oborze, ruch bowiem wywiera na zdrowie ich zbawienny wpływ. Ale powtarzamy raz jeszcze, że nadwyrężać krów pracą nie trzeba.

Pasza zielona, dopóki świeża i soczysta, bardzo jest dla świń zdrowa, z wyjątkiem tatarki. Siekaną koniczyną, pomieszaną z inną odpowiednią paszą, można świnie nawet doskonale utuczyć, tak samo i wszelkiemi odpadkami zielonemi z ogrodu. Owoc niedojrzały musi jednak być parzony i nie trzeba go dawać za wiele, ponieważ wywołuje rozmaite choroby żołądka.

Pszczoły.



Dla przeszkodzenia albo raczej na zapobieżenie rojenia się nie ma dotąd pewnego, wypróbowanego środka. — Brak miejsca, nadmierna ilość pszczół, niedostateczne przewietrzanie, a z powodu tego zbyteczne w ulu gorąco — wszystko to są powody rojenia się. Jedyne więc, co zrobić można, aby temu zapobiedz, są następujące środki ostrożności: 1) Rozszerzyć zawczasu kószki, albo ule i założyć większą ilość węzy, 2) otworzyć zupełnie otwór wylotowy i o ile możności podsunąć pod kószkę kliny, aby kószka odstawała trochę od ławki, 3) włożyć w miejsce zarodowe kilka plastrów sztucznej węzy, 4) przewrócić okrągłe kószki i założyć na nie kószki próżne tak, aby jeden otwór wylotowy znajdował się nad drugim, 5) położyć silny rój z słabym i trzymać matkę za kratką.

Wielka pszczoła wschodnio-indyjska (apis dorsata) ma być obecnie hodowaną w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Rodzaj ten pszczół, znajdujący się głównie na Filipinach, jest dotąd jednak znanym tylko, jako pszczoły wędrowne, które na wierzchołku drzew budują sobie olbrzymie węzy. Wytrawni bartnicy mają nadzieję przywiązania pszczół tych do uli i zmuszenia ich do mieszkania w nich, a wydawca „Gleonings'a" ofiaruje za każdą żywą królowę 25 dol. (110 mk.). Usiłowania sławnego bartnika, Verholen (na Jawie) oswojenia tychże pszczół, okazały się dotąd daremnemi, z 87 schwytanych roi nie został żaden w przeznaczonem mu mieszkaniu, wszystkie zostawiły miód i zaród i uciekły.

Rybki złote.

Aby woda w akwaryum była zawsze świeżą i rybkom zdrową, należy rozpuścić 1 gram kwasu salicylowego w 300 gramach wody i z tego płynu wlewać 4 krople na każde 100 gramów w akwaryum.

Owoc.

Porzeczki (świętojanki). Dochodzą nas często zapytania i skargi, tyczące się krzewów porzeczkowych, które kwitną, a nie rodzą. Prosimy więc ogrodowych i właścicieli ogrodów, mających pod tym względem doświadczenie, o łaskawe udzielenie nam swoich spostrzeżeń i rad, w jaki sposób najlepiej zapobiedz złemu.

Warzywo.

Krety oddawają wielką przysługę rolnikom tępieniem myszy polnych i t. p. szkodników. Ogrodowi natomiast są wielkimi ich wrogami, bo krety podkopują wszystko, to też żaden ogrodowy nie może patrzeć spokojnie, gdy zagony są podkopane i rośliny zniszczone. Zabijają więc bez litości krety. Trzebaby wynaleść sposób, za pomocą którego możnaby je wypłoszyć z tych części ogrodu, którym szkodzą, a pozwolić im żyć swobodnie w tych częściach, w którychby się okazały użytecznemi. W tym celu zatem nie zabijać ich, tylko nalewać w ganki ich mieszkań petrolej, smołę i t. p. wydające ostry zapach płyny. Krety nie znoszą tego i wynoszą się natychmiast.

Ziarnka dyni (bani, korbala). Rozciąć owoc, wyjąć pestki i położyć je razem z włóknami, aby przez 4—6 dni fermentowały, potem przetrzeć w sicie i oczyścić starannie z włókien, następnie prędko suszyć na powietrzu. Gdy już zupełnie suche, przetrzeć palcami, aby sklejone rozdzielić, i schować w chłodnem i suchem miejscu. Ponieważ ziarnka bani nie wszystkie są dobre, przeto trzeba je umieć wybierać. Dobre ziarnka znajdują się zawsze od strony łodygi, podczas kiedy ziarnka z drugiej połowy bani są zwykle puste.

Kwiaty.

Oleandry. Jak postąpić z oleandrem, który co rok ma pąkówki a nigdy nie kwitnie? O łaskawą radę prosimy tych naszych szanownych Czytelników, którzy mają pod tym względem doświadczenie.

Okwitłe kwiaty obcinać natychmiast — tym sposobem przedłuża się niezmiernie czas kwitnienia każdej rośliny. Najlepiej uwydatnia się to na różach wszelkiego gatunku. Im więcej się okwitłych róż obcina, tem więcej nowych pączków wyrasta.

W sierpniu siać należy: cyklamy, calceolarye, prymulki, cynerarye, bratki, niezapominajki, gwoździki, wiole i mak. Chodzi teraz o zapasy na przyszłe lato.

Industrya i przemysł.

Naśladowanie mahoniu. Z drzewa włoskiego orzecha można zrobić bardzo ładne naśladowanie mahoniu. Dobrze wyszlifowane drzewo pociągnąć rozcieńczonym kwasem saletrowym i zostawić je aż uschnie. Poszlifować dalej najcieńszym piaskowym papierem i pociągnąć rozczynem z alkoholu i t. zw. „drachenblut" i zostawić znowu, dopóki zupełnie uschnie. Teraz pociągnąć rozczynem z 500 gram. alkoholu, 30 gr. shellaku i 6 gr. kwas. natron. Po uschnięciu szlifować pumesem (bimstein) i lnianym olejem, w końcu polerować jak zwykle.

Lutowanie blachy cynkowej. Przykrajać dokładnie części blachy, mające być zlutowanemi, licząc na szewek lutowania 15—20 milimetrów blachy więcej. Miejsce lutowania zetrzeć i w pojedyńczych odstępach punktami lutow. zeszyć. Gdy wszystko już przygoto-

wane i nic już posunąć się nie może, zlutować blachy płynną cyną ciężką szeroką kolbą. Amerykańską cynę bardzo polecić można. Rury są napełnione wlophonium albo paraffiną, i oszczędzają wodę do lutow., bo gdy się rurkę taką i kolbę trzyma nad blachami, płynie cyna w odpowiedni sposób. Kolba musi potem być tak szeroko położona na obie zlutowane części, że szerokość szwu jest płynącą cyną zupełnie przykryta. Lutować zawsze trzeba po kawałku.

Trwałość papy na dachu. Papę trzeba, jak wiadomo, smarować od czasu do czasu smołą. Dla nadania jej większej trwałości, dodać należy do smoły część gaszonego wapna, wymieszać wszystko razem starannie i mieszaniną tą posmarować nowy dach. Smoła traci natychmiast wszelki zapach, smarowidło nie ścieka i na powierzchni papy tworzy szklaną powłokę, która jest trwałą i nieprzemakalną. Pod takim dachem nie jest też tak gorąco, jak pod dachem z papy bez wapna.

Kołownictwo.



Przy dalszych wycieczkach, mianowicie w okolicach górzystych, trzeba niezmierną zachować ostrożność. Liczne nieszczęśliwe wypadki są najlepszym dowodem, jak lekkomyślnie postępują kołownicy przy zjeżdżaniu z góry. — Jadący pod górę rzadko kiedy ulegają nieszczęściu, natomiast każdy kołownik ma pewną namiętność do szybkiego pędzenia z góry i często się zdarza, że ręce i nogi pędzących nie są tam, gdzie być powinny. Niejedno złamanie ręki lub nogi nie nastąpiłoby, gdyby ręce były zawsze na kierowniku, a nogi na pedałach. Latem jedzie się nocą bardzo przyjemnie, ale jedna osoba pojedyńczo nie powinna nigdy puszczać się sama, chociażby znała drogę bardzo dokładnie, zwłaszcza, jeżeli chodzi o dalszą odległość. Że nie należy zapominać przytem o latarni, tego już chyba przypominać nie potrzeba.

Złamanie się kierownika nie należy bynajmniej do rzadkich wypadków. Jeżeli się to zdarzy w podróży i jeżeli jedną ręką kołem kierować nie można, wtedy wziąść gałęź, wykrajać ją o ile możności w kształcie kierownika i wsunąć w miejsce złamanego pałąka.

R.

Dział kobiecy.

Cesarska korona — cierniowa korona.



Na tle książęcego przepychu ukazuje nam się, jak gdyby dla przypomnienia, że wszystko na tym świecie jest marnością, szlachetny obraz cichej męczenniczki, której korona cesarska była zarazem cierniową. Jest to idealna postać, pełna kobiecego wdzięku i królewskiej godności: cesarzowa Elżbieta. Co pisano o niej samej, o jej życiu, troskach i śmierci, to musiało jej zdobyć serca i sympatyę ludzi. I tak każdy, kto nam o tej nieszczęśliwej opowiada, może być pewien szczerego zajęcia we wszystkich krajach i u wszystkich narodów. To też z przyjemnością dzielimy się z naszemi szanownemi czytelniczkami kilku wyjątkami z najnowszego dzieła, poświęconego pamięci cesarzowej Elżbiety. Dzieło to p. t. „The Martyrdom of an Empress“ wyszło w Londynie, nakładem braci Harper. „Jeżeli księżniczka Elżbieta, zostając narzeczoną cesarza Franciszka Józefa, była nazwaną: „grecką nimfą a zarazem dziewicą chrześciańską.“ to miano takie odpowiada zupełnie zdaniu wszystkich współczesnych, którzy z najwyższym zachwytem patrzeli na młodą cesarzową. Życie na dworze wiedeńskim było wówczas, z wyjątkiem wielkich bali i uroczystości, ciche i spokojne. Pierwsza anegdotka, jaką opowiadano, tyczyła się — trzewików, była zaś dowodem, że cesarzowa umiała się oprzeć przymusowi dworskich obyczajów. Otóż codziennie stawiano cesarzowej nowiuteńką parę bucików do dyspozycyi, bo tego wymagają przepisy toaletowe, ale młoda władczyni zaprotestowała energicznie podobnemu zbytkowi, mówiąc, że „nie ma ochoty rozdeptywać trzewików dla garderobianej.“ W domu ojca cesarzowej księcia Maksymiliana bawarskiego, panowała wprawdzie wielka oszczędność — sam książe ubierał się z wyszukaną skromnością i tak mało zdradzał powierzchownością swoje wysokie stanowisko, że następująca anegdotka bardzo może polegać na prawdzie. Książe jechał raz do Wiednia w zwyczajnym wagonie pierwszej klasy. Kilka stacyi przed Wiedniem wsiadł do jego oddziału jakiś wytworny mężczyzna, który od razu z księciem ożywioną rozpoczął rozmowę. Był

to jeden z najwięcej renomowanych zegarmistrzów stolicy, i wkrótce, wymieniwszy księciu swoje nazwisko i godność, zapytał, czem się zajmuje jego towarzysz.

— Mówiąc otwarcie, to ja właściwie nie mam żadnego zajęcia — odrzekł książe — jadę tylko do Wiednia, aby odwiedzić moją córkę i zięcia.

— Ach, — a zięć pana ma tam jaki skład?

— Nie, ale zajmuje bardzo dobre stanowisko, i zdaje mi się, że go pan dobrze znasz!

— No, więc czemże jest?

— Cesarzem austryackim.

Zegarmistrz spojrzał zdumiony na księcia i rzekł po chwili:

— Bardzo dobry dowcip, tylko na drugi raz opowiedz go pan takiemu głupiemu, jak sam jesteś, a nie mnie.

Książe uśmiał się serdecznie i opowiedział zdarzenie to cesarzowi, a przywołany nazajutrz zegarmistrz do Laxenburga, miał podobno, wychodząc z pałacu, minę bardzo zmięszaną.

Cesarzowa Elżbieta stała się z biegiem lat bardzo nerwową i rozdrażnioną. Było to przyczyną jej częstych, ale nie dobrowolnych podróży do Korfu, gdzie pod pozorem pokrzepienia sił, długie przebywała miesiące w największem odosobnieniu od ludzi. Raz musiała nawet wyjechać na całe dwa lata, a było to po tragicznej śmierci ukochanego jej syna, Rudolfa. Wówczas miała, w obecności cesarza i całego dworu, uniesiona rozpaczą i oburzeniem, uderzyć szpicrutą w twarz jednego z najwyższych dostojników. Że kara ta była słuszną i sprawiedliwą, o tem nikt nie wątpił, ale nieszczęśliwa cesarzowa musiała opuścić stolicę na długi czas.

Uczucie zazdrości na niżej stojące kobiety zaznała cesarzowa także. Stara jej niańka zastała ją raz głośno płaczącą, a na pytanie, co się stało, odrzekła cesarzowa, że nie może nikomu w świecie tego powiedzieć. Domyślano się, że chodziło tu o bardzo piękną blondynkę, z którą cesarz na balach dworskich podpadająco często tańczył. Była to hrabina L., dawniejsza śpiewaczka opery, Roll, na którą nawet owego czasu ułożono dowcipne pytanie i odpowiedź. Pytanie to brzmiało: który z krajów należących do Austryi jest cesarzowi najdroższym? Odpowiedź na to: Tyrol (Die Roll).

Cesarzowa była także fatalistką i wierzyła w znaki i t. d. Wielką rolę w jej życiu odegrały podobno kruki, które zjawiają się w rodzinie Habsburgów wtenczas zawsze, gdy któremu z członków jej grozi niebezpieczeństwo lub śmierć. Jest to pendant do „białej damy“ w rodzinie Hohenzollernów. I tak opowiada nam autorka (zapewne jedna z dam dworskich cesarzowej), że stado kruków miało się unosić nad Ołomuńcem właśnie wtenczas, gdy cesarz Franciszek Józef był koronowanym. Gdy Maksymilian i Charlotta, bezpośrednio przed wyjazdem arcyksięcia do Meksyku, przechadzali się razem po raz ostatni nad morzem w Miramare, latał kruk nad niemi, i gdy książe usiadł, spuścił się ptak na ławkę, z której nie można go było spędzić. Nad karetą, którą arcyksiężniczka Marya Krystyna jechała do ślubu z królem Alfonsem hiszpańskim, unosił się także kruk



Cesarzowa Elżbieta.

złowróżbny, a dzień przed zamordowaniem Elżbiety, gdy cesarzowa przechadzając się z swoim lektorem, usiadła i zaczęła jeść brzoskwinie, wzleciał nagle tuż przed nią kruk i to tak blizko, że skrzydłem wytrącił jej owoc z ręki. Towarzysz cesarzowej przestraszył się niezmiernie i błagał, aby nazajutrz nie puszczała się w dalszą drogę, ale Elżbieta uśmiechnęła się smutnie i rzekła: „Jestem fatalistką. Co ma być, to będzie!“

Cesarzowa namiętnie lubiła kwiaty i owoce. Pokoje jej podobne były do ogrodów, a całe pożywienie składało się z mleka, owoców i biszkoptów.

Pewnego dnia przechadzała się w Villafranca, małem miasteczku w blizkości Nizzy, i zachwycała się przepysznemi gwoździkami, rosnącemi w ogrodzie burmistrza, który słynął z swego amatorstwa i kochał gwoździki więcej, niż dzici. Za żadne pieniądze nie byłby oddał jednego z swych ukochanych kwiatków. Cesarzowa wiedziała o tem, ale nie mogąc oprzeć się pokusie, zadzwoniła do domku ogrodowego i poprosiła o jeden lub dwa kwiatki. Stary ogrodowy spojrzał w milczeniu na cesarzową i nie pomnąc surowego zakazu swego pana, zerwał dwa gwoździki, które cesarzowa uradowana przypięła do stanika. Za bramą jednak spotkał ją wracający do domu burmistrz i poznał cesarzową i swoje kwiaty. Z pozornym gniewem wyrzucał ogrodowemu nieposłuszeństwo, ale starzec odrzekł zamyślony:

— Ach panie, ona miała takie smutne oczy! Pan sam nie byłbyś jej mógł odmówić! Zdaje mi się, że te oczy dużo już łez wylały!

Burmistrz kazał mu natychmiast zerwać cały bukiet najpiękniejszych gwoździków i zanieść cesarzowej, która umiejąc ocenić tę nadzwyczajną uprzejmość burmistrza, wzięła swoją kartę wizytową i napisała: „Dziękuję panu serdecznie za przepyszne kwiaty. Sprawiłeś mi pan bardzo, bardzo wielką radość.“ Kartka ta stała się naturalnie relikwią w rodzinie burmistrza!

W powyższem dziełku mnóstwo jest takich anegdotek i poważnych, tragicznych wypadków; tu i owdzie znajdujemy dowcipy i plotki, bez których mogłoby się obejść, ale to już niezbędnem jest przy życiorysach osób panujących. Autorka pisze bardzo zajmująco i zna widocznie doskonale cały dwór wiedeński, o cesarzowej zaś wyraża się zawsze z największem uwielbieniem. Dziełko to jest rzeczywiście godnem czytania i przedstawia nam bardzo dokładnie życie szlachetnej kobiety — cesarzowej męczenniczki.

M. P.

Nr. 35. Poznań, niedziela 27-go sierpnia 1899. Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya
w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38.
Telefon Nr. 295.

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

SŁOWACKI.

Jako wędrowiec błądził po tej ziemi,
Dziwnie samotny w szarym ludzi tłumie,
I był jak człowiek, gdy go ból oniemi,
Cichy, i wzniosły w swej śpiewaczej dumie!
Na skroni gwiazdę złotą miał, lecz smętną,
A myśl ognistą jak grom — i namiętną!

On w sobie nosił cały świat zaklęty,
Najcudowniejszą malowany tęczą;
Rycerskich dzwonią rumaków tententy,
Niewieście wizye, jak anioły klęczą,
I płyną w blaskach czerwonych pochodni
Tytany cnoty i tytany zbrodni!

Mógł być samotnym, i mógł nic nie żądać
Od ludzi, takie światy mając w sobie,
Tedy zapragnął złotym wizyom tron dać,
Z rymów królewskich i zamknął się w grobie,
I żywy trwał tak po za świata progiem,
Gadając tylko z duchem swym, i Bogiem!

I cudotwórca — to, co zmarłe wskrzeszał,
Prochom jaskrawe życia dając szaty
Na czarnych chmurach, złote gwiazdy wieszał
I na mogiłach budził świeże kwiaty,
A to, co wskrzesił, już nie legnie w trumnie,
Lecz będzie wieki żyć i jaśnieć dumnie.

A czasem w przyszłość wylatywał duchem,
I tajemniczą podnosił zasłonę,
A czasem sercem przylegał i uchem,
Do ziemi: łąki grały mu zielone,
Szemrały strugi, i bór z cicha szumiał,
A on, te głosy słyszał — i rozumiał.

Wszystkie miał głosy na swej lutni złotej,
Anielskie szepty, i rubaszne gwary,
Krzyk nienawiści, westchnienia tęsknoty,
Wszystkie miał barwy: czerwone pożary,
Różane wschody, noce księżycowe,
I dnie słoneczne, i zmierzchy perłowe.

Któż tak porywać i zatargać może
Jak on porywał, i targał za serce,
Któż w poświęconym pieśni naszej tumie
Bardziej kwieciste rozpostarł kobierce,
Kto cudniej śpiewa, i potężniej woła?
Kto więcej cierni i gwiazd ma u czoła?

Za jego trumną garstka szła niewielka,
Łez mu nie dały tłumy obojętne,
I nie serdeczna ziemia — rodzicielka,
Lecz obca, oczy zasypała smętne.
I śpi tam! dotąd! i ptaszę mu nuci
Piosnki rodzinne, a on śni, że — wróci!

Bo on dla siebie nie chciał nic za życia,
Lecz za to wszystko pragnął mieć po zgonie,
I nieraz marzył, że grzechy z powicia
Całunów — wezmą w świat rodzony, jasny,
A oto dotąd nie śpi w ziemi własnej!

Ale nadejdzie dla prochów godzina
I wielki tryumf pośmiertny się zbliża;
Powiła Matka proroka i syna,
Co się nie ugiął pod brzemieniem krzyża.
I tam go złoży, kędy tak na straży
Z królmi w koronach, spoczął król pieśniarzy!

Or—ot.



Ziemia nasza.

Nie sokołem ja — ni orłem,
Po niebach nie gonię,
Ziemskie dziecko... jak do matki,
Ku ziemi się słonię.

Co mi z nieba?? — choć ciekawie
Do zwidzin się sprasza:
Złote gwiazdy... obce światy,
A ta ziemia nasza.

Co mi z nieba? — gdy zapłaczę,
Łzy na ziemię lecą,
A na niebie, nad niedolą
Jasno gwiazdy świecą.

O! nad nieba ziemia droższa!
Choć jej prace znoją;
Czy ja z sierpem, czy ja z kosą,
Chwalę matkę moją.

Szczerą dziatwę — szczera matka
Na swe łono garnie,
Więc gdy umrę — nikt nie powie,
Żem ja zginął marnie. *B.*

Polacy w Prusach Zachodnich.

I.

Jakoby bliźniąt para do rodzonej macierzy, tak przytuliły się dwie prastare ziemice słowiańskie do rzucającej się w bałtyckie wody Wisły. — Po prawej stronie dawne Prusy Królewskie, po lewej Ziemia pomorska. Dzisiaj nadano im razem wspólne miano Prus Zachodnich, po niemiecku Westpreussen.

Administracya pruska zmieniała często podział i porządek wewnętrzny na tym kawałku ziemi. Zająwszy go przez pierwszy rozbiór Polski 1772 r. nadała mu miano Prus zachodnich i podzieliła na dwa obwody regencyjne: Kwidzyński i Gdański. W r. 1807 przecież utraciła z niego większą część przez pokój Tylżycki, gdy powstało Księstwo warszawskie. W r. 1815 traktaty wiedeńskie przywróciły znowu rządy pruskie, a Prusy Zachodnie przywrócono choć w nieco zmienionych granicach. W r. 1829 przecież połączono Prusy Zachodnie z dawniejszemi Prusami Książęcemi, u Prusaków Wschodniemi mienionemi, a zrobiono to w nadziei szybszego zgermanizowania ludności polskiej. To jednakże zdawało się wręcz przeciwny wywoływać skutek, więc w roku 1877 odłączono je i tak jest dotąd, że Prusy Zachodnie są osobną prowincyą dla siebie, znowu dla przyspieszenia germanizacyi.

Z tego samego powodu powiększono liczbę powiatów zachodnio - pruskich w wyraźnie wypowiedzianym zamiarze naprowadzenia więcej urzędników Niemców do kraju i zwiększenia wpływu tychże, szczególniej naczelników powiatowych, zwanych po niemiecku landratami.

Wszystko to germanizacyi nie przyspieszyło, jak z żalem i złością wypowiadają Niemcy sobie. Owszem żywioł polski wzrasta szybko liczebnie i kulturowo, a gdy ludność Prus Zachodnich doszła półtora miliona dusz na obszarze 25,516 kilometrów kwadratowych, to co dawniej Niemcy przyznawali tylko jednę trzecią, z tej liczby Polakom, dzisiaj przyznają już więcej niż połowę i krzyczą w niebogłosy na kolonizacyę prowincyi, na większą płodność żywiołu słowiańskiego i dorabianie się Polaków majątkowe i kulturowe. Te krzyki wywołały znaną hakatę i podniecają ciągle jej usiłowania germanizacyjne, rozpalając ją często aż do szalonej zaciekłości. Obrona spokojna i legalna wśród skrupulatnego spełniania obowiązków względem państwa, ale dla tego tem pilniejsza i energiczniejsza, oto treść życia ludności polskiej w Prusach Zachodnich!

Według ostatniego obliczenia urzędowego jest stosunek ludnościowy w poszczególnych okręgach wyborczych do parlamentu niemieckiego następujący:

Sztum-Kwidzyn	103,321	dusz,	katolik.	47,2%
Lubawa-Susz	104,282	„	„	48%
Brodnica-Grudziądz	125,368	„	„	52,3%
Toruń-Chełmno	181,699	„	„	54,5%
Świeć	81,817	„	„	57,6%
Chojnice-Tuchol	83,235	„	„	78,1%
Człuchów-Złotów	131,004	„	„	42,4%
Wałcz	65,544	„	„	40%
Obwód Kwidzyn	876,270	dusz.		
Elbląg-Malbork	144,989	dusz,	katolik.	27%
Gdańsk wsie	78,365	„	„	35,8%
Gdańsk miasto	125,605	„	„	30,5%
Kartuzy-Wejherowo	130,338	„	„	74,9%
Kościerzyna-Starogard	138,793	„	„	76,6%
Razem obw. Gdański	618,090	dusz.		

W całej prowincyi Prusy Zachodnie mieszkańców 1,494,360.

Spis ludności, lubo że bywa co 5 lat ściśle sporządzany w krajach do Rzeszy niemieckiej zaliczonych, nie uwzględnia narodowości. Owszem, Niemcy, jakby lękali się prawdy, unikają tego uporczywie. Raz tylko zabrali się do tego, ale wtenczas wymyślili sobie zaraz dwie jakieś nowe mowy i narodowości, a mianowicie kaszubską i mazurską, aby w ten sposób zmniejszyć liczbę ludności polskiej. Bałamucili i bałamucą tym fortelem chyba sami siebie, bo przecież Polacy i wszyscy ludzie etnologiczne kryteryum rozumiejący, wiedzą, co o tem sądzić.

Natomiast uwzględniano przy ostatnim spisie religię ludności, co dało poznać procentowy stosunek katolików do ewangielików, jak wyżej przy każdym z okręgów wyborczych wyłuszczony. Według tego przypada w obwodzie Kwidzyńskim na 457,180 katolików, 418,615 ewangielików, w obwodzie gdańskim zaś na 309,200 katolików, 308,509. W całej prowincyi Prus zachodnich: katolików 766,380, ewangielików 727,124. Przewyżka katolików tedy 39,256. A że w stosunkach tutejszych Polacy są bez wyjątku katolikami, Niemców katolików zaś nie wielu, ztąd wykazująca się większość katolików, jest zarazem dowodem większości polskiej, a w każdym już razie wielkiego i ciągłego przyrostu żywiołu polskiego, który od trzydziestu lat obliczali Niemcy na jedną trzecią całej ludności.

Zważyć należy to jeszcze, że liczba ludności ewangielickiej zwiększana bywa sztucznie importem z prowincyi i krajów niemieckich, już to przez powoływanie z daleka urzędników najrozmaitszych, już przez rekrutacyę wojska tu załogującego poborem niemieckiej młodzieży, podczas gdy rekruta polskiego śle się w niemieckie strony, a wreszcie i przez kolonizacyę ziemi tutejszej chłopem niemieckim, za którym sprowadzają się i rozmaici rzemieślnicy z stron rodzinnych kolonisty. Z drugiej strony wypiera kolonizacya i przykre położenie, w jakie się robotnik polski coraz więcej dostaje przez gwałtowne zakusy germanizacyjne, wypiera to wszystko chłopa polskiego z ojczystych siedzib i pędzi go to na robotę letnią, to znów na stałe osiedlenie się w kraje niemieckie, czy do pracy w roli, czy do fabryk i kopalni. A jednakże, mimo to wszystko, ludność polska zachowuje liczebną przewagę nad niemiecką.

Czytelnik mieszkający gdzie zdala od ziem nad dolną Wisłą nie wyrozumiałby może powodu, dla którego nad liczebnym stosunkiem ludności polskiej do niemieckiej tak obszernie się rozwodzę. Ależ w tem zagadnienie naszego życia, kwestya naszej egzystencyi plemiennej!

Niegdyś Fryderyk II-gi, u nich Wielkim zwany, zagarnąwszy właśnie Prusy Zachodnie, nazwał nas Polaków „swoimi Irokiezami“ i postawił nas sobie na etacie do wymarcia. Nie inaczej uważano nas przez cały czas po nim, dzisiaj zaś czynią wszelkie wysiłki do przyśpieszenia tego wymarcia. Postawiono nas pod wyjątkowe prawa co do swobód i korzyści, podczas gdy obowiązki spełniać, ciężary dźwigać nakazują zdwojone i za własne nasze pieniądze, bo ze wspólnych podatków brane, czynią sobie narzędzia i sposoby do przyspieszenia naszej zaguby. Nie dość na tem, prawiąc o potrzebie otrzymania zgody i dobrego porozumienia między rozmaitemi odrębnościami ludności, posługują się prywatnym ochotnikiem z pośród mieszkańców niemieckich, ową hakatą, aby nas wyrugować czy wygłodzić. Dziwu więc nie ma, że się liczymy skrzętnie i nabieramy sił do walki i życia, do odporu i rozwoju właśnie z przeświadczenia, że nas przybywa.

W ostatnim czasie napadł ich strach przed Słowiańszczyzną. Czy go udają, lub przeczuwają niebezpieczeństwo, my nie wiemy. Słyszymy przecież, co mówią, że o garstkę Polaków u siebie wcaleby się nie troszczyli, ta ani się zerwać nie chce, ani nie może, bo na 3 miliony wszystkiej ludności polskiej, mają Niemcy 3 miliony zbrojnego żołnierza. Ale poza Polakami pruskimi rośnie ogrom całej Słowiańszczyzny półtorastamilionowej, a dla tej falangi byliby Polacy w Prusiech groźnym naczołkiem. Więc zbyć ich się i skruszyć czy zatracić jak najprędzej. — Według mnie, jest w tem może i niejakie rozpatrzenie przyszłości, ale jest też więcej jeszcze manewru politycznego. — Chodzi znowu o powiększenie wojska, o nowych pułków konnych coś 20, o nowe uzbrojenie, zwłaszcza artyleryi, o wielkie pieniądze na marynarkę, a w takiej potrzebie straszy się opinię publiczną, jak dawniej Francuzem, tak dziś Słowiańszczyzną. Pokazuje się też w prowincyach niemieckich przeludnienie w świecie urzędniczym, wszystko to zaostrza apetyt na ten kawałek ziemi, na którym jeszcze żywioł słowiański liczebną trzyma przewagę. Ha! 40,000 robotnika polskiego wypędził Bismark za granicę jako nie tutaj zrodzonego, a stumilionowa Komisya kolonizacyjna jego pomysłu, połowę owego funduszu już wyszafowała. Nas nie ubyło, owszem więcej jeszcze lękają się naszej liczby i postępu. Możemy żyć i spokojnie patrzeć w przyszłość...

Ignacy Danielewski.

Projekt kanałowy a Polacy.

Zaprojektowana przez rząd pruski i przedłożona sejmowi do zatwierdzenia budowa kanału, mającego połączyć najważniejsze drogi wodne Niemiec środkowych, stała się zupełnie prawie niespodzianie dla wewnętrznego życia politycznego pierwiastkiem rozkładowym, pod którego działaniem może najzupełniej zmodyfikować się cała konstelacya polityczna. Konstelacya ta opierała się po dziś dzień na współdziałaniu rządu z konserwatystami: czego zażądał rząd, za tem junkrowie głosowali, a gdy czegośkolwiek junkrom było potrzeba, mogli bez wahania apelować do ojcowskiego serca rządu, a rząd im niczego nie odmówił. I trwałaby była nieprzerwanie ta idylla konserwatywnego rządu z rządowymi konserwatystami, gdyby jej nie był położył kresu projekt budowy systemu kanałowego.

Projekt ten — jeśli bierzemy go pod uwagę z zasadniczego stanowiska ogólnego rozwoju i postępu — jest niewątpliwie uwzględnieniem coraz rosnących potrzeb nadreńskiego i środkowo-niemieckiego wielkiego przemysłu. Kto dziś jednak w polityce kieruje się względami korzyści ogólnej? Konserwatyści pierwsi, obawiając się z kanału uszczerbku dla rolnictwa, oświadczyli się przeciw niemu. Za nimi poszło centrum, trzymając się stale zasady kupieckiej: „nic darmo“ i żądając rekompensaty, której rząd jednak dać nie chciał.

Położenie długi czas było niejasnem, bo ministrowie przyzwyczajeni do maszerowania ręka w rękę z konserwatystami jakoś nie mogli, czy nie chcieli dość energicznie zabrać się do dzieła.

Wyjaśnienie sytuacyi nastąpiło dopiero po mowie cesarskiej w Dortmundzie. Cesarz oświadczył tam, że niezachwianie dążyć będzie do przeprowadzenia projektu kanałowego i że osobiście odpowiedzialnym się czyni za urzeczywistnienie tego planu.

Słowa cesarskie zrobiły wrażenie olbrzymie, lecz.... nie na konserwatystach. Gdy w ubiegłą sobotę odbywało się trzecie i ostatnie czytanie projektu kanałowego w sejmie pruskim, odpowiedzieli konserwatyści całkowitem odrzuceniem projektu rządowego, który zatem przepadł, bo wszystkie inne

stronnictwa razem wzięte nie mają tyle głosów, co konserwatyści. Polacy też głosowali przeciw projektowi rządowemu.

Niewątpliwem jest, że losy projektu kanałowego odbiją się donośnem echem w wewnętrznej polityce pruskiej, w grę bowiem wchodzi słowo i zapewnienie cesarskie, że kanał wybudowanym będzie.

Bardzo być może, że wkrótce sejm będzie rozwiązany i zarządzone nowe wybory. Jedno jest pewnem: że z wyborów tych, prowadzonych przeciw konserwatystom wyjść może i wyszedłby zapewne sejm kanałowi przychylny, ale w żadnym razie bardziej rządowy, niż sejm obecny.

Wziąwszy więc te wszystkie czynniki pod uwagę, zastanowić się możemy nad stanowiskiem naszych posłów do projektu kanałowego.

Głosowali oni — jak już zaznaczone powyżej — przeciw projektowi.

Pomimo, że zawsze byliśmy i pozostaniemy zwolennikami zasadniczej opozycyi Koła polskiego wobec rządu, przyznać należy, że w danym razie głosowanie do współki z konserwatystami przeciw projektowi rządu, który miał poparcie stronnictw liberalnych, nie było pozbawione pewnego *odium*. Zastanawiano się, czy nie wypada głosować za projektem łącznie z liberalnym odłamem sejmu, a przeciw konserwatystom, gdyż głosowaniem „przeciw“ zasłużyć można niejako na miano reakcyonistów, którzy kładą tamy liberalnym dążeniom rządu: jest to bowiem zupełnie coś innego oponować rządowi w ustawie kagańcowej, a oponować mu w projekcie budowy kanału, dzięki któremu mógłby się rozwinąć i ożywić ruch przemysłowo-wytwórczy; — przeważyły jednak względy ważniejsze, a mianowicie zasadnicze zapatrywanie, że skoro kanał ma przyczynić się do podniesienia środkowych Niemiec, to naszym prowincyom należy się jakaś rekompensata, bo ciężary na wszystkich zarówno ciężyć będą, nie zaś wyłącznie na tych prowincyach, które miałyby z projektu korzyść. „Nic darmo, nic z przychylności dla ogólnego rozwoju Prus.“ Zresztą sami konserwatyści dowiedli, że w polityce dzisiejszej nie potrzeba się kierować względami na dobro całych Prus, lecz należy mieć dobro prowincyi na oku: dlaczegożbyśmy, Polacy, mieli być przychylniejszymi dla państwa pruskiego, niż panowie konserwatyści? A to tembardziej, że prowincye polskie nie należą do tych, które cieszą się szczególniejszą pieczołowitością rządu.

Motywy te jasno uwydatniły się w mowie ks. prałata Jażdżewskiego, wypowiedzianej przeciw kanałowi.

Obok powyższych pobudek wpłynęło ogólne położenie polityczne na odmowne stanowisko Polaków wobec projektu rządowego. Projekt ten jest jabłkiem niezgody pomiędzy dwoma najsilniejszemi czynnikami politycznemi w Prusach: pomiędzy rządem a partyą konserwatywną, dotychczas rządową.

Z chwilą, gdy czynniki te zaczynają toczyć pomiędzy sobą walkę, my, Polacy, z całą przyjemnością możemy przypatrywać się zapaśnikom. Niech walczą jak najdłużej, niech sobie wzajemnie łby pourywają (przepraszam za trywialne wyrażenie), niechaj szereg ministrów pieczętuje porażkę rządu utratą swych portfeli, a cały szereg konserwatywnych posłów niech utratą mandatów przypłaci brak uległości wobec rządu — nas o to głowa nie zaboli. Nie będziemy płakać ani po żadnym z ministrów, którzy zapoczątkowali nową poprawną edycyę kursu antypolskiego, ani po żadnym z junkrów, którzy głosowali za ustawą stumilionową przeciw Polakom i za ograniczeniem języka polskiego na zebraniach...

A niech walczą — w imię Boże!

Dziwią się niektóre pisma niemieckie, że Polacy, przyznając bez ogródek wielką ekonomiczną doniosłość budowy kanału i połączonej z nią poniekąd reformy wyborczej komunalnej, pomimo to głosowali przeciw kanałowi — lecz zdaniem naszem do głosowania „przeciw“ zupełnie wystarczającemi były wyłuszczone powyżej pobudki polityczne: dlatego też najzupełniej zgadzamy się z tem, że z pomiędzy licznych pobudek przemawiających *za i przeciw* — silniejszemi były te ostatnie. O ile nam się zdaje, cała nasza prasa i całe społeczeństwo z postępowaniem Koła polskiego w tej sprawie najzupełniej się zgadza.

Kazimierz Radwan.

Stan gospodarstw włościańskich i środki ku ich podniesieniu.

Od dobrobytu włościan zależy dobrobyt i innych warstw społecznych, gdyż, w każdym kraju rolniczym, produkującym prawie wyłącznie zboże, włościanie stanowią, że tak powiem, te korzenie, któremi ziemia żywi znaczną część organizmu społecznego. Adwokaci na prowincyi musieliby zamknąć swoje kancelarye, gdy im odjąć chłopską klientelę; lekarze nie chętnie wyjeżdżają z miasta w dni targowe, w które również ożywiają się puste składy i martwe zazwyczaj osady i miasteczka. Bez pokrzepienia więc podstaw społeczeństwa, będzie chwiejną i cała jego budowa, chociażby w niej i niejedno piękne okienko wyrzeźbić.

Z drugiej strony podniesienie dobrobytu włościan powstrzymuje zbyteczne rozdrabnianie się osad włościańskich i daje możność parcelacyi tym większym właścicielom, którzy jej potrzebują, a pochodzą, ze sfery, jaka najwięcej się z ziemią zżyła i nabywała ją dla pracy na niej a nie dla spekulacyi.

Chłop prawie, że nie ma żadnych potrzeb. Jedyną jego pasyą, jedyną namiętnością — jest „grunt“. Widziałem raz chłopa, który przyprowadził małego synka do lekarza z prośbą „na miłość,“ żeby mu to dziecko ratował, gdyż jest mu ono „i jak potrzebne“. Chłopi wogóle nie bardzo się roztkliwiają utratą dzieci, zwłaszcza mniejszych, które jeszcze nie pomagają im w pracy. Otóż chłopu owemu dlatego syn ten był „i jak potrzebny“, że było to jedyne dziecko z pierwszej jego żony, dziedziczki osady — chociaż więc miał dzieci z drugiej żony, osadę zaś kupił od teścia jeszcze przed ożenkiem z pierwszą, chłopak jednakże był mu potrzebny, „bo jak zamrze, to grunt przejdzie całkiem do obcych ludzi“, chociaż ci obcy ludzie to też jego dzieci, ale już nie z rodziny „dziedziców“ osady. Słyszałem również dziewczynę w sądzie na sprawie działowej, której gdy brat niechciał dać jej tyle spłaty z majątku, ile ona żądała i powiedziano jej, że w takim razie majątek zostanie sprzedany i pieniędzmi się podzielą, dziewczyna się rozpłakała i powiedziała, że woli nic nie wziąść, niż żeby jej „ojcowizna“ miała iść na sprzedaż. Włościanin niemniej się troszczy o przyszły los swej osady, a może nawet więcej jak o los swych dzieci. Dlatego też, jeśli rozporządza osadą za życia, to dzieci, przeważnie synów, którym sprzedaje lub oddaje osadę lub jej części, obdarowywa znacznie więcej niż pozostałe, mniej zaś obdarowani zupełnie temu nie oponują i uważają to za rzecz

naturalną, dopóki nie pobudzi chciwości chłopskiej i nie wznieci waśni rodzinnej — pokątny doradca.

Otóż obecnie przez niemożność spłat i nabywania nowych osad, rozdrabnianie się osad postępuje coraz szybciej i w parcelacyi większej własności ziemskiej, o ile ta jest nieunikniona, włościanie nie mogą wziąść takiego udziału, jakiby pragnęli.

Do pewnego stopnia ratuje włościan pod tym względem ożenek, — a następnie teraz — Ameryka. Chłop żeni się bardzo wcześnie, przyczem nie szuka towarzyski życia lub pomocnicy w pracy, ale — pieniędzy na „spłatnią“ z osady. Emigracya jest obecnie stałem zjawiskiem. Otóż chłopi nigdy nie emigrują z zamiarem niewrócenia. Nie wracają ci tylko, którzy nie mają za co wrócić. Takich jest bardzo niewielu. Rzadkie te wyjątki stanowią próżniacy i utracyusze, którzy próżnując w kraju, za resztki straconych pieniędzy wędrują do Ameryki w nadziei, że tam wezmą się do pracy. Emigranci za przyniesione i przesyłane z Ameryki pieniądze albo spłacają rodzinę z osady, albo nabywają nowe, lub chociaż biorą w zastaw kawał ziemi, ale każdy czepia się „gruntu“. Rzadko który z nich zmarnuje lub obróci na co innego przyniesiony pieniądz.

Nie dla zmiany więc i polepszenia idzie chłop do Ameryki: on szuka tam tylko swego „gruntu“, i chociaż później może niejednemu z nich wypadnie inaczej — wyłącznie w tym celu wędruje za morze, zacząwszy od młodziutkiego wyrostka, który dalej parafialnego kościoła i rynku w najbliższej osadzie świata więcej nie widział, skończywszy na ojcu rodziny, zostawiającym grunt, żonę i dzieci na łasce Bożej.

Nikt nie zaprzeczy, że stosunki te zasługują na nazwę nienormalnych i doprowadzić mogą do stopniowego zubożenia kraju.

Ale jak im zaradzić?

Może najpilniejszą potrzebą własności włościańskiej jest podniesienie wiedzy rolniczej. Więc nietylko szkoły rolnicze, ale i fermy wzorowe. Oto one: wszędzie są gospodarstwa księży, które, bez zaprowadzenia ulepszeń niedostępnych dla włościan, z łatwością mogłyby być dla parafian wzorem gospodarowania w utrzymywaniu odpowiedniego do ilości ziemi inwentarza, należytem i systematycznem umierzwianiu roli, umiejętnem zbieraniu i przechowywaniu nawozu, dobrej i wczesnej uprawie, wczesnym siewie, zaprowadzaniu racyonalnego płodozmianu i pożytecznych roślin, jak łubin, rzepik, marchew, seradela i t. p.

Zwracanie uwagi na to wszystko, pokazywanie im na pniu zboża, jakie się rodzi przy takiej uprawie, bezwątpienia pobudziłoby niejednego z nich do naśladownictwa. W okolicy, w której mieszkam, nikt nie siał marchwi pastewnej. Trzy lata temu zasiałem ją pierwszy. Na drugi rok już wielu sąsiednich włościan zasiało ją również, wypytawszy się, jak się to robi, a w r. z. na dwóch sąsiednich wsiach nie było już pewnie ani jednego gospodarza, któryby nie miał marchwi. Opłaciło im się to sowicie, gdyż kartofle zupełnie nie obrodziły, marchew więc pomogła im do przeżywienia przedewszystkiem trzody chlewnej.

Niemniej doniosły wpływ na podniesienie dobrobytu włościan mogliby wywrzeć księża, gdyby zechcieli być przykładem i zachętą dla nich w zakładaniu i utrzymywaniu ogrodów. Obecnie ogrodami przeważnie zajmują się tylko niektórzy księża, szczególnie zamiłowani w ogrodownictwie, gdyż nie każdy z nich chce ryzykować kilkaset marek albo i więcej na założenie ogrodu przy plebanii, z której lada chwila może być przeniesiony do innej parafii. Gdyby jednak wszyscy księża zechcieli zajmować się ogrodami, ryzyka nie byłoby żadnego, gdyż ksiądz, któryby założył ogród dla swego następcy, w nowej parafii korzystałby z ogrodu, założonego przez swego poprzednika. W ten więc sposób dochód wszystkich księży powiększyłby się o jedną stałą i dość znaczną pozycyę, przy chatach zaś włościańskich niewątpliwie powstałyby sady na wzór księżych.

Dla uzupełnienia podniesienia dochodów z osady włościańskiej należałoby również zwrócić uwagę na oczyszczanie rzek, osuszanie nadrzecznych łąk i uprawę łąk wogóle. Nieumiejętność i niezaradność włościan w uprawie łąk są niemniejsze, niż w uprawie roli. W pewnej wiosce włościanie posiadają ogromne obszary nadrzecznych łąk i pastwisk. — Otóż z takiej ogromnej przestrzeni łąk już parę lat z rzędu nie zbierają prawie zupełnie siana, gdyż coraz więcej zarastająca rzeka coraz więcej rozlewa się na łąkach, zupełny zaś brak rowów zamienia łąki na grzęskie trzęsawiska, tak że nietylko podczas mokrych lat, jakie mieliśmy dwa lata zeszłe, ale i podczas najsuchszych, siana zbierają znacznie mniej i gorsze, niż mogliby zebrać, osuszywszy łąki.

Drugie miejsce po podniesieniu wytwórczości ziemi i wogóle dochodów z osady, dla podniesienia dobrobytu ludu, winno zajmować nauczenie go wyciągania jak największych zysków z czasu, wolnego od zajęć rolnych.

Rozwój drobnego przemysłu rolnego, krzewienie rzemiosł, bezwątpienia wpłynie korzystnie na byt materyalny włościan, gdyż czas to pieniądz, według angielskiego przysłowia, a włościanie marnują bardzo wiele czasu, a zatem pieniędzy, zwłaszcza porą zimową. Mokre np., nadrzeczne obszary nadają się do sadzenia wierzbiny dla wyrabiania koszyków.

Mniej żyzne okolice, a zamieszkałe przeważnie przez włościan, obfitując w taniego robotnika, sprzyjają rozwojowi przemysłu fabrycznego bez obawy narażania rolnictwa na brak robotników.

Podniesienie wytwórczości ziemi i dochodów wogóle z osady włościańskiej, wyzyskanie przez włościan czasu po za pracą około roli w drobnym przemyśle rolnym i fabrycznym, a wszystko to oparte na silnej podstawie zasobu wiadomości praktycznych — oto jedyne sposoby doprowadzenia obecnych nienormalnych warunków do stanu pożądanego. *Dr. B.*

Rozwój floty handlowej

w pierwszorzędnych *mocarstwach europejskich.*

W znanym organie militarnym „Politische Revue“ znajdujemy poniższy interesujący artykuł:

Od dawna już wiadomo ogólnie, że francuzka flota handlowa nie ostaje się w współzawodnictwie z flotami innych narodów, i że od roku do roku zmniejsza się jej potęga. Możnaby fakt ten wytłumaczyć tem, że Francya nie wyrównuje innym państwom pod względem budowania okrętów, i to samo byłoby już bardzo niebezpiecznym symptomem. Ale w rzeczywistości jest sprawa o wiele jeszcze gorszą, tak złą nawet, że temat o upadku floty handlowej od mniej więcej trzech lat nie schodzi z łamów najznaczniejszych ekonomicznych pism. A to przecież dosyć jest wymownem, jeżeli nawet ogólne naukowe czasopisma w Paryżu wyrażają się, na podstawie statystyki, z całą otwartością i szczerością o tej kwestyi, tak, jak gdyby nie chodziło o szkodę własnej ojczyzny, tylko o jakiegoś nienawistnego współzawodnika. Można być pewnym, że sposób zapatrywania się Francuzów na tę sprawę nie jest zbyt pesymistycznym, bo usposobienie ich skłania się zawsze do patrzenia na wszystko przez szkła różowe. Dla tego możemy się śmiało posłużyć francuzkiemi sprawozdaniami w celu przedstawienia obecnego stanu francuzkiej floty handlowej i dowiedzenia, że cofanie się Francyi na tem

polu, w porównaniu do położenia wszystkich państw całego świata, jest jedynem w swoim rodzaju.

Zestawienie sporządzone do roku 1889 pokazuje kolosalną przewagę angielskiej floty handlowej, która pod względem liczby i objętości okrętów jest większą, niż wszystkie floty wszystkich innych państw razem. Na drugiem miejscu stoją Niemcy, na trzeciem Francya, na czwartem Stany Zjednoczone Ameryki, potem Hiszpania, Włochy, Norwegia, Holandya, Szwecya, Rosya, Dania i Japonia.

W r. 1889, do którego się owe sprawozdania odnoszą, można już było wyraźnie poznać pewien zastój w rozwoju floty handlowej francuzkiej, bo dwa lata poprzednio stała flota handlowa francuzka jeszcze na drugiem miejscu, a więc następowała bezpośrednio po angielskiej i przewyższała znacznie niemiecką. Dwa lata jednak wystarczyły, aby rzecz całkiem inny wzięła obrót.

Przypatrzmy się teraz rozwojowi pojedyńczych flot handlowych, od r. 1889 do r. 1897.

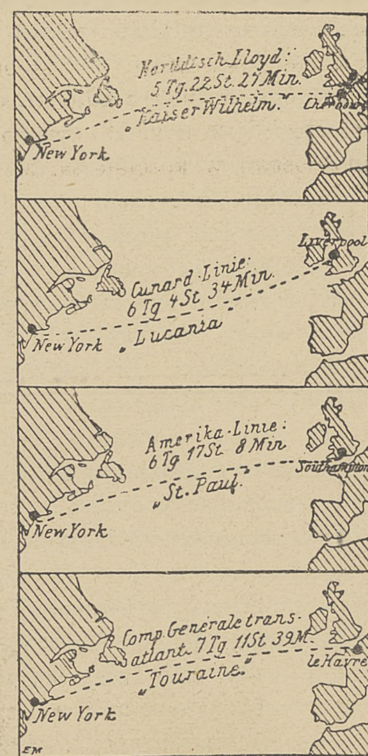
Anglia przybrała takie rozmiary, które przewyższają wszystkie inne floty handlowe całego świata. Ale stosunkowo nie stoi rozwój floty handlowej angielskiej już na pierwszem miejscu, bo widzimy u innych państw, że rozwój floty handlowej przewyższa angielski.

Trzy państwa, których flota handlowa powiększyła się w dwójnasób w owych 8 latach są: Norwegia, Dania i Japonia. Najwięcej zdumiewającym jest postęp Japonii — tam flota handlowa powiększyła się prawie o 4 razy, z 147 okrętów o 76,412 ton. zawartości doszła do 324 okrętów o 282,908 ton. Takiego postępu nie ma na całym świecie, pomimo, że Dania i Norwegia także znacznie floty handlowe powiększyły.

Floty handlowe Rosyi, Szwecyi, Holandyi i Niemiec powiększyły się o podwójną liczbę okrętów, przyczem jednak Niemcy najpierwsze zajęły miejsce. Włochy i Hiszpania nie pozostały również za innemi — flota handlowa włoska wzrosła o 40$^0/_0$, hiszpańska o 25$^0/_0$ okrętów. I zupełnie po za tym rozwojem stoi Francya, której flota handlowa, podług sprawozdania biura „Veritas“ wykazuje mały tylko wzrost, podczas kiedy podług państwowej statystyki celnej liczba okrętów zmniejsza się nawet. Stosownie do obliczenia biura „Veritas“, miała flota handlowa francuzka w owych ostatnich 8 latach kilka okrętów wprawdzie więcej, ale jakim był ten rozwój! Z 484,990 ton na 501,792, a zatem 3$^1/_2$$^0/_0$! Zdaje się jednak, że obliczenia te były jeszcze bardzo optymistyczne, bo statystyka celna nie znajduje wogóle żadnego powiększenia floty handlowej, przeciwnie nawet — ubytek raczej.

Nie mamy zamiaru badać, na czem zadziwiający ten upadek floty handlowej francuzkiej właściwie polega. Przed dwoma mniej więcej laty zaznaczył Charles Roux smutny ten fakt, i wskazał na zupełną nieudolność francuzkich legar (werft) okrętowych, mniej może pod względem jakości, niż ilości. W r. 1895 budowano na francuzkich legarach okręty o zawartości tylko 33,824 ton, z których 14,000 ton przypadały na parowce; Stany Zjednoczone Ameryki budowały równocześnie prawie 85,000 ton, Niemcy 101,400, Anglia zaś 1,139,540. Francya stała zatem na 4 miejscu i pozostała za Niemcami o 100$^0/_0$ a za Anglią o 3000$^0/_0$. Francuzkie legary nie budują nigdy okrętów na zapas, i to także wielkim jest błędem. Dla powzięcia ogólnego wyobrażenia o stosunkach flot handlowych wystarczają fakta te zupełnie, ale poznanie bliższych stosunków jest również bardzo zajmującem. Zmniejszanie się floty francuzkiej musi być widocznem i w tej części statystyki, którą zowiemy: „ruchem okrętowym w francuzkich portach“. Rozumieć pod tem należy ilość ton przychodzących i odchodzących okrętów. Ten ruch okrętowy w francuzkich portach zwiększył się wprawdzie od r. 1891 do r. 1897 o 138,000 ton, ale patrzmy tylko, jak się rzecz ma w innych państwach! W Anglii wynosiła zwiększona ilość ton więcej niż 11$^1/_2$ miliona, w Holandyi blizko 11 milionów, w Stanach Zjednoczonych 6 milionów, w Belgii 2$^1/_2$ miliona, we Włoszech również tyle, w Niemczech 2 miliony i t. d. W portach francuzkich widać dziś o wiele więcej angielskich niż francuzkich okrętów, angielskich 44$^1/_2$$^0/_0$, francuzkich zaś tylko 30$^0/_0$. Żaglowców francuzkich jest więcej, jak parowców, które są po największej części małe i żadnej nie mają wartości.

Jakże teraz ma się rzecz z flotą handlową francuzką na morzach świata? Przedewszystkiem chodzi o Ocean Atlantycki, gdzie mianowicie żegluga jest rozwiniętą pomiędzy Europą i Ameryką. Spojrzmy na Amerykę Północną, na Kanadę, w której tak wiele mieszka Francuzów; otóż z Kanadą nie ma Francya żadnego samodzielnego połączenia. Tak samo nie ma połączenia z wielkiemi portami Stanów Zjednoczonych, ani z Bostonem, ani Filadelfią, Baltimore i t. d. Do New-Yorku chodzą raz po raz parowce z Marsylii i Bordeaux. Jedynie parowce „de la Compagnie Gènèrale Transatlantique“ chodzą regularnie pomiędzy New-Yorkiem a Havrem. Ale i tu jest współzawodnictwo innych narodów tak wielkie, że okręty francuzkie na ostatniem prawie stoją miejscu. Podczas kiedy okręt niemiecki „Cesarz Wilhelm“ przebywa z New-Yorku do Cherbourga w 5 dniach, 22 godzinach i 27 minutach, potrzebuje na odbycie tej samej drogi okręt angielski Lucania 6 dni, 4 godzin i 34 minut, okręt amerykański St. Paul 6 dni, 17 godzin i 8 minut, a okręt francuzki „Touraine“ 7 dni, 11 godzin i 39 minut.



Nie dziw zatem, że każdy, nawet Francuz, woli jechać okrętem angielskim lub niemieckim, niż francuzkim. O połączeniu Francyi z resztą Ameryki nie warto nawet mówić.

Gdy Niemcy zabrały Kiautschau w Chinach ustanowiono natychmiast regularne połączenie Niemiec i Chin za pomocą parowców, chodzących do nowej kolonii dwa razy na miesiąc. W francuzkiej kolonii chińskiej Kwang-tschauwan nie ukazał się dotąd żaden jeszcze okręt handlowy francuzki!

Z tego wszystkiego widzimy, że Francya, pomimo swych olbrzymich posiadłości zamorskich, na które więcej wydaje pieniędzy, niż jakiekolwiekbądź inne państwo, jest zupełnie wykluczoną z rozwoju handlu świata.

Omikron.

Z TYGODNIA.

Cesarz austryacki obchodził w zeszłym tygodniu uroczystość urodzin. Gazety austryackie poświęcają z powodu tej uroczystości casarzowi długie artykuły i piszą, że cesarz może być uważany za jednego z największych miłośników po-

koju i że swoją polityką przyczynił się w znacznej mierze do utrzymania w Europie pokoju.

Z powodu urodzin cesarskich odbyły się we Lwowie i Krakowie stosowne uroczystości. W Krakowie w wigilię urodzin cesarza, odegrały wieczorem orkiestry wojskowe hymn ludowy, w dniu uroczystości zaś odegrano rano pobudkę; w południe odbyła się parada wojskowa na Błoniach. Biskup ks. Puzyna odprawił nabożeństwo w kościele N. M. Panny dla przedstawicieli władz.

Zatarg narodowościowy w Austryi zaczyna się przeradzać obecnie w otwartą walkę. Małą illustracyą są wypadki, które zaszły tydzień temu w mieście Cylei.

W Cylei odbyć się miało odsłonięcie pomnika na grobie znakomitego filologa, Słoweńca Oblaka.

Uroczystość ta oburzyła w najwyższym stopniu narodowców niemieckich, którzy starym zwyczajem uważają słowiańską Cyleę za odwieczne miasto niemieckie i każdy objaw ducha słowiańskiego poczytują za rabunek na mieniu germańskiem.

Nadomiar dowiedziano się, że na uroczystość przybyć mają różne delegacye czeskie, a ten dowód solidarności słowiańskiej dolał oliwy do ognia. Ułożono tedy z góry program awantury, zatelegrafowano do Gracu po posiłki niemieckie i czekano z laskami w ręku a rewolwerami w kieszeniach na przybycie gości z nad Wełtawy. I policya zwąchała, co się święci. Równocześnie zatem z gromadą awanturników niemieckich, spieszących z Gracu do Cylei, przybył z Celowca oddział żandarmeryi.

Przyjazdu Czechów oczekiwano w środę rano. Na dworcu tedy zgromadziły się tłumy publiczności i silny oddział policyantów. Na pół godziny przed nadejściem pociągu, tłumy narodowców niemieckich zaczęły śpiewać „Die Wacht am Rhein“, a żandarmerya austryacka słuchała spokojnie, jak ta pieśń manifestująca związek Niemców austryackich z Niemcami z rzeszy, brzmiała niby na urągowisko państwu Habsburgów. Czesi jednak rannym pociągiem nie przyjechali.



Cesarz Franciszek Józef z najmłodszymi Habsburgami.

Teraz Niemcy w zbitym tłumie pospieszyli przed cylejski „Dom narodowy“ i zażądali zdjęcia chorągwi słoweńskiej. U wejścia przed portalem stali posłowie słoweńscy dr. Sernec i dr. Decko, słuchając spokojnie krzyków gawiedzi germańskiej. Niemcy nie odważyli się wtargnąć do wnętrza „Domu“. Gdy jednak dr. Decko wyszedł na ulicę, rzucił się na niego motłoch niemiecki i począł bić go laskami. Słoweńcy pospieszyli oczywiście na ratunek swego posła i powstała krwawa bójka na kije i pięści, w której buchalter Rzicha otrzymał ciężką ranę w głowę. A policya? Policya przyaresztowała dwóch Słoweńców (!) i kazała zdjąć chorągiew słoweńską, za co gawiedź niemiecka podziękowała jej okrzykiem „Hoch“ i pieśnią „Deutschland, Deutschland, über Alles“.

Około godziny 1 po południu tłumy znowu pociągnęły na dworzec, gdzie już ustawiło się kilka oddziałów żandarmeryi i wojska. Gdy na tymże dworcu ukazała się garstka przybyłych wcześniej już studentów niemieckich, aby powitać rodaków swoich, zaczęto krzyczeć: Precz z tą hołotą słowiańską! Zabijcie te psy! i t. p.

Odsłonięcie pomnika odbyło się spokojnie, bo wojsko cały cmentarz otoczyło silnym kordonem, wpuszczając tylko osoby z biletami. Gdy jednak Słoweńcy wraz z gośćmi swymi udali się na t. zw. górę zamkową, dla zwiedzenia pamiątek historycznych, rozpoczęły się znowu hałaśliwe demonstracye. Niemcy nie poprzestali już na obelgach, lecz zaczęli wybijać szyby w „Domu narodowym“, a choć wojsko ich rozpraszało, to gawiedź germańska koncentrowała się w coraz to innych punktach, hałasując i wrzeszcząc: Śmierć psom słowiańskim!

Rozruchy przybierały coraz groźniejsze rozmiary. Noc już zapadła, a motłoch niemiecki nie ustępował z placu. Sytuacya stała się tak niebezpieczną, że żaden z Czechów nie odważył się opuścić „Domu narodowego“, bo nieopodal stały masy pijanych narodowców niemieckich i biły każdego, kto wyjść się ośmielił. Użyto przy tem takiej taktyki, że hałasowano równocześnie w kilku stronach miasta, wybijając szyby Słoweńcom, aby od „Domu narodowego odciągnąć skonsygnowane tam wojsko. Przyszło ostatecznie do krwawej bójki, w której padło kilkanaście strzałów rewolwerowych z tej i tamtej strony. Słoweńcy podobno pierwsi użyli broni palnej, wobec ogromnej przewagi rozjuszonego motłochu i wobec pastwienia się Niemców nad każdym, kto „Dom narodowy“ opuścić się odważył. Krew popłynęła obficie, przyczem naturalnie najgorzej wyszli Słoweńcy. Z Niemców tylko jeden otrzymał ciężką ranę od kuli rewolwerowej, a kilku ma nosy zmiażdżone. Wśród Słoweńców liczba rannych i poturbowanych jest znacznie większa.

Oblężenie trwało przez całą noc, a dla Czechów musiano sprowadzić do „Domu narodowego“ łóżka żelazne, bo żaden z nich bez narażenia życia opuścić nie mógł gmachu słowiańskiego. Dopiero nad ranem Niemcy, znużeni walką, usunęli się z placu boju i Czesi mogli odjechać pod silną eskortą żandarmeryi.

Oto treściwy przebieg wypadków, oto mała illustracya do frazesu o „uciśnionej przez Słowian niemczyźnie“.

Z Warszawy dochodzą bardzo niepokojące wieści. Niby z pod ziemi nagle wyrósł ruch socyalistyczny i dziś nie jest przesadą, co głoszą telegramy wszystkich agencyi telegraficznych po Europie:

Cała prawie Warszawa strejkuje. Ruch zaczął się w fabryce Handkiego w poniedziałek 31 lipca, gdzie robotnicy zażądali skrócenia godzin pracy tak, aby normalnie robota trwała od 7 rano do 6 wieczór z dwugodzinną przerwą na obiad i śniadanie. Kiedy fabrykant nie zgodził się — cała fabryka stanęła.

Za nią zastrejkowali robotnicy w fabrykach: Kohna i Zielińskiego.

We wtorek 1 sierpnia i przez cały ubiegły tydzień stawało codziennie po kilka fabryk.

Obecnie panuje strejk we wsystkich fabrykach żelaza: Lilpopa, Bormana, Norblina, Rudzkiego, Rephana, Konrada, Januszkiewicza i Gostyńskiego, dalej strejkują wszystkie fabryki w Pradze, warsztaty kolei wiedeńskiej i wiele innych.

Sześć fabryk stolarsko-ciesielskich stanęło od tygodnia.

Cały fach stolarski prowadzi walkę o skrócenie dnia roboczego. Stoją warsztaty rymarskie oraz powtórnie strejkują piekarze. Strejk rozszerza się na coraz nowe gałęzie przemysłu i rękodzieł, przyjmując charakter powszechnego. Z okolic Warszawy stanęły fabryki w Pruszkowie.

Dotychczas nie było starć z policyą, robotnicy zachowują się spokojnie. Policmajster kazał nalepić ogłoszenia, grożąc karą „burzycielom i podżegaczom“.

Fabryki i dzielnice obsadzone wojskiem. Patrole kozackie krążą po ulicach. Dotąd były aresztowania, ale nieliczne. Liczbę strejkujących określić można na 20,000.

Smutne te wieści na chwilę oderwały uwagę ogółu od wypadków, związanych ze sprawą Dreyfusa. Najnowszym wypadkiem jest następujący:

W ubiegłym tygodniu dopuszczono się zamachu na obrońcę Dreifusa, Labori'go w Rennes, który tak opisują:

Labori wyszedł po godz. 6 z rana w towarzystwie żony na posiedzenie sądowe. Żona zapomniała czegoś i wróciła do mieszkania. Labori szedł tymczasem sam i obaczył spieszącego również do sądu podpułkownika Picquarta. Zawołał nań i szli dalej razem w towarzystwie jeszcze kuzyna Labori'go, Gasta, wzdłuż kanału, gdy z poza muru człowiek jakiś, ubrany bardzo licho, według jednych naocznych świadków jasno, według innych ciemno, wyskoczył i strzelił do Labori'go z tyłu z rewolweru.

Labori zachwiał się i po chwili upadł na prawy bok, opierając się na łokciu, po którym krew spływała obficie. Przywołano panią Labori, sprowadzono nosze, na których odniosło rannego do domu czterech dziennikarzy w towarzystwie kilku żołnierzy.

Publiczność przepełniała już salę liceum gdy wpadł jeden z dziennikarzy, wołając na całe gardło: „Labori raniony!“ Zamieszanie powstało nie do opisania. Podczas pauzy, którą na żądanie Demange'a zarządził wnet przewodniczący, wywiązały się gwałtowne sceny pomiędzy przedstawicielami obu obozów, które nieomal nie skończyły się bójką.

Tymczasem Picquart ściga zawzięcie uciekającego zbrodniarza. Zastępują temu ostatniemu drogę robotnicy, ale wymyka im się, grożąc rewolwerem i wołając, że ma pięć kul jeszcze! Praczki, które widziały uciekającego, opisują go jak następuje: Jest średniego wzrostu, odzież ma podartą, czapkę sukienną, płaską. Cyklista jadący doniósł, że zbrodniarz ukrył się w życie na drodze do Diran. Dwudziestu konnych żandarmów popędziło za nim, wyprzedzając Picquarta i Gasta.

W rzędzie krążących pogłosek była i taka, że w chwili pierwszego zamieszania, gdy Labori upadł na ziemię, jakiś człowiek, który dotarł do niego, wyrwał mu z kieszeni plikę listów. Były tam między innemi listy Clémenceau do Jaurèsa i Józefa Reinacha do Labori'go. Nie przedstawiają wszakże żadnej wartości. Pogłoska ta utrzymuje się uporczywie.

Policya twierdzi, że Labori padł ofiarą spisku. Jak daleko akcya tego spisku sięgnąć miała i w jakim związku pozostawał on ze spiskiem paryskim Déroulèdéa, na to odpowiedzi na razie nie ma.

Przewodniczący sądu wojennego, pułkownik Jonaust, odwiedził Labori'go. Proces odroczony być nie może. Prawdopodobnie Albert Clémenceau zastąpi ubezwładnionego na dłuższy czas kolegę. Inni proponują Mornarda. Prezes gabinetu Waldeck-Rousseau i wszyscy ministrowie przesłali depesze kondolencyjne pani Labori.

Zmarł w Berlinie 16 b. m. słynny chemik, prof. Bunsen, jeden z największych koryfeuszów wiedzy chemicznej naszego stulecia. Robert Wilhelm Bunsen, urodził się d. 31-go marca 1811 r. w Getyndze, studyował w mieście rodzinnem, a następnie w Paryżu, Berlinie i Wiedniu geologię, chemię i fizykę, habilitował się jako docent prywatny już w r. 1833 w Getyndze, a w r. 1856 został profesorem zwyczajnym na politechnice w Kasselu. Następnie piastował katedry chemii w Marburgu, Wrocławiu i Heidelbergu. W r. 1889 usunął się w zacisze pracowni prywatnej, wciąż niezmordowanie poświęcając się torowaniu dróg nauce. Chemia zawdzięcza mu cały szereg ważnych odkryć. Badania jego w r. 1866 w Islandyi rzuciły również nowe światło na wulkany. Rzeczą pism specyalnych przypomnieć olbrzymi obszar dociekań i odkryć bunsenowskich w dziedzinie ściśle chemicznej, zwłaszcza n. p. dyfuzyi gazów. Dla szerokiego ogółu Bunsen pozostanie na zawsze pamiętnym jako wynalazca palnika gazowego, stosu galwanicznego (jego nazwiska) i światła magnezyowego. Unieśmiertelnił się w nauce odkryciem w r. 60-ym wspólnie z Kirchhoffem analizy spektralnej, które dało nowe zupełnie podwaliny całej wiedzy fizyczno-chemicznej i astronomii. Doprowadziło ono w dalszem następstwie swojem także do odkrycia rubidium i caesium, które pierwszy Bunsen wyodrębnił. Do najpoważniejszych, a ogólniej przystępnych dzieł jego należą: „Das Eisenoxydhydral als Gegengift des weissen Arseniks“ (1834), „Gasometrische Metoden“ (1857), „Anleitung zur Analyse der Aschen und Mineralwässer“ (1874), „Flammenreactionen“ (1880). Pomnikowe te i inne dzieła Bunsena wychodziły w licznych wydaniach i różnych językach.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Głównem ogniskiem wydawnictw dla ludu polskiego w Księztwie Cieszyńskiem na Slązku austryackim jest księgarnia nakładowa w Cieszynie. Księgarnia ta rozpuszcza bardzo wiele książek i broszur pomiędzy lud nawet mazurski w Galicyi, tudzież klasę rzemieślniczą i mogłaby prawdziwie oddać sprawie oświaty ludowej zasługi, cóż kiedy niestety większa połowa książeczek raczej zgubnie niż dodatnio oddziaływa, szczególnie na czytelnika mniej oświeconego. Styl tych książeczek jest okropny i nie dziw, bo wszystkie prawie są tłomaczone żywcem z niemieckiego, gdyż nasza literatura oryginalna, Bogu dzięki, nie obfituje w podobne arcydzieła. I takim to sposobem księgarnia nakładowa (p. Feitziger) ciągnie zyski z naszego ludu, nie pomnąc, że lepiej już chyba nic nie czytać, niż brednie, które ciemny umysł bałamucą i wkorzeniają weń przesądy i zgubne wady.

Pod nagłówkiem „Für dumme Polaken“ pisze w tej sprawie **„Gazeta Ostrowska“** między innemi co następuje:

„Wybornym komentarzem dla poparcia tego zdania jest wydana nakładem E. Feitzingera książeczka, której tytuł brzmi w całej rozciągłości swojej: „Siła sympatyi czyli wpływu duchownego na organizm zwierzęcy, jako środek w rozmaitych chorobach i przypadkach bardzo skuteczny z dodaniem fizyognomicznych reguł i wskazówek, podług których szybko charaktery, temperamenta, zdolności i uczucia ludzi, poznać można.

„W książce tej obejmującej 64 stronnic przepełnionych istną trucizną moralną dla ludu nieoświeconego i dającego chętnie posłuch wszelkim zabobonnym bredniom, znajdujemy ustępy, które warto tu dla lepszego zrozumienia przytoczyć:

„Rany zamawiać, by się prędko goiły: weź narzędzie, którem się zraniłeś, wetknij je do słoniny i tak długo w niej pozostaw, dopóki się rana nie zagoi, co zwykle nadzwyczaj szybko następuje.

„Krew rany śmiertelnej zatamować. Napisz na kartce papieru następujące wyrazy † † † y: S: † v: C: y † 86 † † i połóż to na broczącą się ranę i t. d.

„Chłostę od dziecka oddalić: Aby dziecko raz na zawsze zabezpieczyć od wszelkiej chłosty, zasłużonej czy nie zasłużonej (sic) niech ojciec da mu 3 krople krwi z pierwszego członka palca serdecznego.

„Musielibyśmy chyba całą książeczkę dosłownie przepisać, ażeby dać dokładne wyobrażenie o tych „sposobach", a jest ich aż 119 i każdy stanowi dla siebie zupełnie odrębne i oryginalne oszustwo. I podobne rzeczy śmie ów Feitzinger zachwalać w przedmowie i bezczelności głosić, że „puszczając w świat tę książeczkę, daleki jest od dawania zabobonom i ludowym wierzeniom, przesądom, gusłom i t. p. pierwszeństwa przed innemi zjawiskami i siłami, które zrozumiałe są, jasne (!), logiczne (!), a nadewszystko żadną nie grzeszące nadzwyczajnością", i powołuje się na Mickiewicza, Goszczyńskiego, Słowackiego i Krasińskiego."

Jak napiętnować podobne postępowanie księgarni, będącej własnością człowieka inteligentnego, zostawiamy to osądzeniu samemu czytelnikowi.

Wobec nieustających jeremiad niemieckiej prasy szowinistycznej na „zalew polski" prowincyi rdzennie niemieckich na tworzenie się polsko-katolickich parafii w stronach czysto dotąd protestanckich, zamieszcza **„Kölnische Volkszeitung"** artykuł pod tytułem; *„Polenpolitik und katholische Kirche"*.

„Przyczyną tego ciekawego objawu polityczno-społecznego — czytamy między innemi w zacytowanym artykule — jest jedynie polityka germanizacyjna rządu, wypierająca ludność polską na zachód. Lud polski, rugowany przez komisyę kolonizacyjną i inne praktyki germanizacyjne rządu ze swoich siedzib, musi przecież gdzieś szukać chleba, idzie więc na zachód i tem sobie tłómaczyć należy nagłe pojawienie się żywiołu polskiego w niemieckich centrach przemysłowych i powstanie polsko-katolickich parafii nawet w stronach dotąd zupełnie protestanckich, jak w okolicy Stralsundu i Szczecina. Kościół katolicki w niczem się do tego ruchu nie przykłada, zawinił go rząd, a z nim popierające jego przewrotną i bezowocną politykę antipolską szowinistyczne stronnictwa niemieckie."

Organ komisyi kolonizacyjnej, **„Deutsche Zeitung"**, zamieścił odezwę, wzywającą chłopów niemieckich, aby przybywali na wschód i tam kupowali osady.

„W ostatnich latach — pisze wzmiankowany organ — osadnictwo ogromnie się podniosło. W pierwszych latach kolonizacyjnych przybywało co rok ledwie 200—300 rodzin, a w tym roku koła interesowane spodziewają się przybycia 700—1000 kolonistów. Wywiesiwszy te cyfry, jako przynętę, zapewnia organ komisyi kolonizacyjnej, że każdemu osadnikowi w Poznańskiem jest pod skrzydłami komisyi kolonizacyjnej, jak u Pana Boga za piecem, że bez trudów na koloniach zdobywać można majątek, że państwo dba nietylko o ułatwienie finansowe, ale i o przyjemności chłopów niemieckich. Zarząd kolonizacyi otrzymuje podobno setki listów z serdecznemi podziękowaniami za wyświadczone dobrodziejstwa, a wieść o tych cudach tak się szybko rozchodzi po kraju, że emigracya niemiecka z zachodu na wschód rozwija się coraz szybciej. Niedawno 200 chłopów przybyło w Poznańskie i podróżowało po całej prowincyi, oglądając majątki kolonizacyjne. Mnóstwo z nich nabyło parcele i niebawem sprowadzi się do nowonabytych folwarków."

Tak głosi organ pruskiej kolonizacyi, ale wszystko to zakrawa na fanfaronadę wobec niezbitego faktu, że kolonizacya trzyma ogromne majątki w własnej, bardzo kosztownej administracyi, i mimo najszczerszej chęci, mimo setek agentów, rozsyłanych po całych Niemczech, nie może na nie znaleść nabywców z zachodu. Agenci obiecują złote góry, kolonizacya ułatwia, jak może, osadnikom rozkwaterowanie się w nowych siedzibach, ba! buduje nawet chałupy w niemieckim stylu i mnóstwo protestanckich szkół i kościołów, ale to wszystko jakoś nie bardzo nęci chłopów niemieckich do prowincyi wschodnich. Obcy ludzie, obcy kraj, obce zwyczaje — mówią i nosem kręcą, a na ziemię skarżą się, że niewydajna.

„Gazeta Grudziądzka" zwraca uwagę na bardzo ważną sprawę pisowni nazwisk polskich. Sprawa ta jest ważniejszą, jak niejednemu się zdaje, ze względów historycznych i praktycznych, szczególnie kiedy chodzi o odziedziczenie spadku. Zresztą i uszanowanie ojców, którzy owo nazwisko nosili, powinno każdego pobudzać do tego, żeby się tak pisał jak oni.

„A jednak przez nieuwagę — pisze wzmiankowana gazeta — bardzo się przeciw temu wykracza. Nawet na tablicach u woza widzieć można pokoszlawione nazwiska, jak Wilschewski zamiast Wilczewski, Ceschynski zamiast Cieszyński, Konkol zamiast Kąkol.

„Każdy powinien swe nazwisko tak pisać, jak jego ojcowie się pisali. Jeżeli w ostatnich latach w metrykach nazwisko nie dobrze napisano, to trzeba prosić o zmianę. Ta napewno się uskuteczni, jeżeli udowodni się ze starych ksiąg kościelnych, że tak a nie inaczej nazwisko było pisane. W ten sposób rodzina Wolszlegierów wygrała proces. Gdy żądano od niej, aby się pisała Wollschläger. Sąd to uznał za prawne."

Gdy niektóre pisma rosyjskie starają się sprawiedliwiej, niż dawniej i uczciwiej na stosunki polsko-rosyjskie patrzeć, a rządowi doradzają zmiany kursu na korzyść języka polskiego — inne przeciwnie, jakgdyby w rozpaczliwej obronie stanowiska, które się już obronić nie da, z całą zapalczywością bronią niezmiennie nieprzyjaznej metody postępowania wobec Polaków. Nie pomaga im nic doświadczenie ostatnich stu lat, a choćby tylko najbliższe doświadczenie ostatnich 36 lat — nie pomaga fakt oczywisty, że celu zamierzonego tą drogą się nie dopnie, a tylko się doprowadza do nagromadzenia ogromnych zapasów wybuchowego materyału. One w zaślepieniu swem i społeczeństwo rosyjskie i rząd rosyjski chcą zapędzić w kierunku, z którego nie ma wyjścia — tylko: albo brnąć dalej na oślep, na szkodę swoją, na szkodę wszystkich w caracie lepszych kierunków, na wstyd Rosyi wobec świata całego — albo cofnąć się wtedy, kiedy już naprawdę będzie zapóźno.

Do tych zaślepionych należy *„Now. Wremia"*. Obawia się widocznie, żeby w stosunki między rządem rosyjskim a Polakami nie zakradł się i skutecznie się tam nie rozwinął stan rzeczy, naprawdę pojednawczy, ludzki, sprawiedliwszy. Widocznie przerażają ten organ pojawiające się lepsze głosy w pewnej części prasy rosyjskiej, przerażają go takie nawet „ustępstwa", jak ostatnie, przywracające język polski, jako wykładowy, przy nauce języka polskiego. Gotów rząd pójść jeszcze dalej i konsekwentniej w kierunku jedynie ludzkim i cywilizowanym — a wtedy widocznie wyobraża sobie „Now. Wrem." początek czegoś strasznego, najstraszniejszego, jakiegoś zamachu na język rosyjski i na całość imperyi.

„Szkoła ludowa — tak konkluduje **„Now. Wremia"** jest potężną bronią w rękach rządu. I tu należy zauważyć ciekawe zjawisko: nasi sąsiedzi w Niemczech i Austryi doskonale pojmują, jaką mogą odnieść korzyść z tej działalności. Nawet Czechy zdają sobie z tego sprawę, a Rosya — nie. Nasz rząd wielu cudzoziemcom wydaje się zbyt surowym, a w niektórych razach zdradza taki liberalizm, jaki w każdem innem państwie byłby niemożliwym. Pod szyldem szlachetnych, ale fałszywych zasad humanitarnych, daje swobodę, która w istocie jest anty-państwową."

Trudno jest więcej przewrotności zamknąć w krótszych słowach!

B. M.

NA DOBIE.

Artykuł nasz w ubiegłym numerze, dotyczący parcelacyi powoduje jednego z naszych ziemian do skreślenia słów następujących o: *ujemnych stronach parcelacyi.*

Poczynają się ludzie powoli przekonywać, że nie wszystko złoto — co się świeci.

Był czas, że parcelacyę większych majątków uważano jako szczęśliwy objaw, jako rzecz niezmiernie pożądaną dla kraju. Dziś obserwacya i doświadczenie nauczyły, że kawał ziemi, choć podzielony na drobne działki, jeśli jest niedbale i nieumiejętnie uprawiany, nie przynosi żadnych zysków i zaledwie wyżywić może właścicieli.

Ziemia, z natury dobra i urodzajna, mimo tego, że na niej gospodaruje fuszer, zawsze da plon jaki taki. Ale ziemia gorszego gatunku, przy lichej kulturze, daje plon, który wedle przysłowia „brat brata rodzi.“

Nasz chłop uważa posiadanie ziemi za najwyższe dobro i bogactwo. Jest to, wedle jego rozumienia, jedyne źródło dające chleb i jedyne zajęcie, które wykonywać potrafi; więc płaci tę ziemię drogo, bo nie umie oceniać swej pracy, o rachubie zaś kosztów produkcyi choć ma niejakie wyobrażenie, wszakże bardzo w przeważnej części niedokładne.

Jeśli parcelacyi gruntów dokonywa sam właściciel większej posiadłości, zmniejszając terytoryum z różnych powodów, a często zmuszony do tego wyposażaniem dzieci, które trudno ziemią obdzielić, to wtenczas nabycie gruntu na dogodniejszych dla włościan odbywa się warunkach.

Jeśli zaś ziemia dostaje się w ręce spekulanta, rzecz naturalna, taki aferzysta stara się jak największe z interesu wyciągnąć korzyści.

Dewastacya tych majątków tą drogą dochodzi do najwyższych rozmiarów.

Porządnie zabudowany folwark w lat kilka wygląda jak „Arabia deserta.“ — Drzewa wycięte, budynki rozwalone, niwy bez żadnego systemu i porządku podzielone na kawałki, rozgrodzone i spalone płoty, a na polach sklecone liche budy, zamieszkane przez nowych nabywców, którym po zapłaceniu należności za nowe dziedzictwo nie pozostało ani grosza na zagospodarowanie się i kapitał obrotowy.

Nic dziwnego, że dola takiego nabywcy jest ciężka, a jeśli do tego dołączą się klęski żywiołowe, rezultatem jest nędza.

Nabywać ziemię może tylko kmieć zasobny, pracowity i umiejący gospodarzyć.

Ci zaś, którzy nie posiadają odpowiedniego funduszu i rachują na wyrobienie się, w dzisiejszych warunkach rolnictwa, własnemi rękoma gotują sobie ruinę. Trudno jednak ludziom zrozumieć, że nie każdego stać na to, aby miał grunt własny pod stopami i własny dach nad głową.

Chęć posiadania, zresztą zupełnie usprawiedliwiona i chwalebna, jeśli spełnia się nieopatrznie, przynosi straty i jednostkom i ogółowi. *E. Z.*

Nie ze wszystkiem podzielając zapatrywania autora — otwieramy chętnie łamy naszego pisma do dyskusyi w tym przedmiocie. — Przyp. Red.

* * *

Jeden z Czytelników nadesłał nam następującego charakterystycznego „Kujawiaka“:

O moja mamusiu powiedzże mi przecie,
Czemu to z niemiecka ludziska na świecie
Szprochają?
Oj dana, oj dana, oj dana, oj dana,
Oj dana, oj dana, oj dana, dana.

O moja córuniu ci tylko szprochają,
Co wcale polskiego języka nie znają
Pięknego. — Oj dana i t. d.

O moja mamusiu powiedzże mi dalej,
Czemu to po szkołach uczyć zakazali
Po polsku. — Oj dana i t. d.

O moja córuniu, bo oni są tacy,
Że chcą by z niemiecka nawet i Polacy
Szprochali. — Oj dana i t. d.

O moja mamusiu bądź o nas spokojną,
Zniemczyć się nie damy nawet pracą [znojną
Przenigdy.
Oj dana i t. d.

O moje dziateczki, już żyję spokojnie,
Skoro przyrzekacie nie ulegać w wojnie
Z Hakatą. — Oj dana i t. d.

* * *

Berlin, dnia 16 sierpnia 1899.

Wielce Szanowna Redakcyo!

Co czynić, ażeby zapobiedz wynarodowieniu naszych Polek i Polaków na obczyźnie? Trudna odpowiedź na to pytanie, bo jak to urządzić, aby każdy, t. j. Polka i Polak na obczyźnie pozostali dobremi dziećmi tej Matki matek i ojców naszych, t. j. *Polski?*

Zanim do odpowiedzi przystąpię, pozwolę sobie skreślić obszerniej, w jaki to sposób germanizują się nasze rodaczki i nasi rodacy.

Będąc już dłuższy czas przeważnie we większych miastach niemieckich, gdzie dosyć pokaźna liczba Polaków przebywa, już to za zarobkiem, już to dla wydoskonalenia się w zawodzie, miałem sposobność poznać przyczyny wynarodowienia się wielkiej ilości rodaków. Oto po pierwsze te nieszczęsne i pogardy godne mięszane małżeństwa są główną tego przyczyną.

Bo gdy się Polak ożeni z Niemką, i on gdy dobrze po niemiecku mówi, to też z początku nie zajdzie chmura; jedno drugiemu chętnie ustąpi, zgodzą się i miłują. Ale jak tylko rodzicami zostaną, już też o kłótnie nie trudno nigdy, bo żonka Niemka powie mężowi: „Do mnie należy wychowanie dziecka“ — zupełnie słusznie — których to słów byłem naocznym świadkiem w Dreźnie i tu w Berlinie. Także jeden przypadek, który tu w Berlinie zaszedł: Oto na chrzcinach chce sobie śpiewać ojciec (Polak) po polsku i pyta żony — rozumie się Niemki — gdzie Śpiewnik polski? Ona mu na to przy gościach, przeważnie polskich, odpowiada śmiało: „den habe ich lange im Ofen verbrannt“ (już go dawno w piecu spaliłam); dodała nadto, iż każdą książkę, która nie niemiecka, do ognia wrzuci. Możecie sobie wystawić, mili czytelnicy, to oburzenie obecnych tam Polaków, których znam dobrze jako prawdziwych i uznania i poszanowania godnych Polaków — gdy naraz tak krewni jak i znajomi jego dom opuścili.

Gdyby Polkę miał za żonę, nigdyby do tego nie było przyszło, oto przestroga dla młodszych. Takich zdarzeń bardzo dużo mógłbym opisać, ale nie chcę miłych czytelników nudzić zbytnio rozległością mojej pisaniny. Czyż można myśleć w takiem małżeństwie o nauce języka polskiego? Nigdy! mianowicie u ludu ciężko na kawałek chleba pracującego.

Przyczyną wynarodowienia ludu polskiego jest także brak poczucia, że każdy człowiek do jakiejkolwiekbądź narodowości należeć powinien, że człowiek zdrowo myślący powinien sobie mieć za obowiązek bronić skarbów przodków swoich. A co jest tym skarbem wogóle dla każdego człowieka, a szczególniej dla nas Polaków po ojcach i praojcach naszych, za który krew, życie i mienie dawali? Mowa czyli język polski, bo czyż jest co na świecie milszego nad język ojczysty? zapewne nie.

Dla tego strzeżmy i brońmy tego drogiego i najmilszego skarbu, ponieważ do tego takie same mamy prawo, jak każdy inny naród.

Małżonkowie Polacy, mający dzieci, są aż zanadto dla nich pobłażliwi, mianowicie co do polskości. Nie raz, ale kilkadziesiąt razy zdarzyło mi się słyszeć, iż ojciec lub matka sami licho po niemiecku umiejąc, gdy dzieci do domu przyjdą, rozmawiają z niemi — a jakże — po niemiecku, a gdy się już nieraz zapytałem: dla czego w domu z dziećmi po polsku nie mówicie? to mi już odpowiedzieli, że dzieci nie chcą i jak będą większe, to prędzej się nauczą, a nareszcie, że to wszystko jedno, jaką mową się mówi.

Także ojciec, gdy od pracy wróci do domu, powinien usiąść z dziećmi jeszcze małemi, niechby i dziennie tylko pół godziny i opowiadać im o dawnej Polsce, o jej bohaterach, o jej potędze i świetności dawnej, i że kraj nasz tylko rozszarpali; a przez to rozbudzić w tych małych główkach jakieś zainteresowanie, jakąś ciekawość, jakiś przedmiot do pewnych zapytań i t. d.

Czy pamięta taki Polak, iż gdy on na świat przyszedł, pierwsze do niego słowa mówione były po polsku? czy ten pierwszy pacierz, którego go matka jego uczyła, nie był po polsku? czy to pożegnanie, gdy od rodziców wyjeżdżał z domu, nie było po polsku? to śmiało powiem, że inaczej nie było. A jego dziecko jakie usłyszy pierwsze wyrazy, już nie po polsku, bo żona nie umie, a gdy stara jego matka chce wnuki widzieć i mówić z nimi, musi bełkotać do nich obcą i trudną dla niej mową, na widok taki czyż serce staruszki pęknąć nie może, iż syn jej w taki się sposób odwdzięcza, o biada tobie niewdzięczny synu, pamiętaj na czwarte przykazanie Boże „Czcij ojca twego i matkę twoją“, a najlepiej ich uczcisz przez posłuszeństwo, t. j. pozostań tem, czemżeś się urodził.

Dla tego radziłbym wszystkim rodzicom, opiekunom, dobroczyńcom i wszystkim starszym osobom, mającym jakikolwiekbądź wpływ na młodzież polską, aby, gdy młodzież w obce kraje się wybiera, jeszcze przed odjazdem na serce i sumienie im dobrze wpływem swym oddziałać, t. j. przedstawić im, na jakie

pokusy są wystawieni w obcych krajach, jaką wielką zbrodnią jest wobec Boga, rodziców i społeczeństwa polskiego wypieranie lub z czasem zupełne zaparcie się narodowości swojej. Upomnieć ich, aby o ile możności uczęszczali do towarzystw polskich i ażeby pod pretekstem wspólnej wiary katolickiej nie żenili się z osobami innej narodowości. Błąd popełniają po większej części nasi rodacy ze stanu wiejskiego, ponieważ nie umieją rozróżnić wiary katolickiej od narodowości czyli mowy — spytać się którego, dla czego się z Niemką żeni? to zaraz odpowie: „A toć ona jest Polką, bo do polskiego kościoła chodzi jak i ja, tylko po polsku nie umie, ale jednak jednę wiarę mamy“ — nowy dowód, iż nie znają różności narodowościowej i religijnej.

Józef Budzyński z Miłosławia.

* * *

San Feliciano, dnia 6. 7. 1899 r.

Szanowna Redakcyo!

Wyczytałem w łamach „Pracy“ bezpłatnie naszemu Tow. im. Mickiewicza przesyłanej, korespondencyę Wnego ks. Cynalewskiego o kolonii Apostoles w prowincyi Argentyńskiej Missiones. Tamże, zdaje mi się, przebywa p. Ignatowski, o którym dowiedziałem się od p. Okołowicza, redaktora „Gazety“ w Curitybie.

Kolonia Apostoles musi być zapewne bogatą, skoro tamże Missionarze zbudowali sobie niegdyś siedlisko, zkąd światło wiary św. miało się rozszerzać nietylko po Argentynie, ale w Boliwii, w Brazylii i t. d.

Jeżeli się uda ks. Cynalewskiemu zgromadzić większą liczbę kolonistów polskich, to z tych ruin mogą Polacy wznieść znowu świątynię, odbudować nowy zamek obronny wiary św.; w nowym Syonie może wnet zabrzmieć pieśń „Boże coś Polskę“, bo sami Brazylianie przyznają, że tak wytrwałego w pracy, tak spokojnego i uległego kolonisty, jak polski kolonista w Brazylii nie ma między kolonistami z Europy.

Atoli raczy ks. Cynalewski wyjaśnić, ile metrów kwadratowych wynosi ten „hektar“. Tu np. na San Feliciano najpiękniejsze kolonie wynoszą 1000 metr. długości a 250 metr. szerokości.

Raczy również wyraźnie naznaczyć, czy ta pomoc w krowach, wołach, koniach jest zupełnie bezpłatną, czy też daną zapomogą bezprocentową.

Pytanie także, na jak długo rząd argentyński nie będzie żądał wypłaty za grunta zabrane i za daną zapomogę.

Na San Feliciano bowiem już procent wzrósł do 30 milreis od sta.

Kto tu wziął całą kolonię i zapłacił zaraz, dziś jest spokojny i ma grosze, kto zaś opuścił ręce, sądząc, że to wszystko, a więc zapomoga 200 milreis (bezprocentowa) i zapłata za grunt wzięty zostaną darowane, ten dziś widzi, że się grubo pomylił.

Nie wszędzie Polacy mieli dobrych przewodników. Rząd brazylijski w swoim czasie chciał kolonistę od razu postawić na nogach. Koloniści przy robotach dróg, przy budowie mostów zarabiali tak dobrze, że mogli nie biorąc żadnej zapomogi od razu spłacić zabrane grunta.

Upraszam przeto Wnego ks. Cynalewskiego, jak wszystkich korespondentów, aby raczyli praktyczne dawać wiadomości, wtenczas każdy obliczy się dobrze ze swojemi siłami i ze swą kasą, a wziąwszy pole już będzie dokładnie wiedział, na jakich warunkach z rządem pozostaje.

Kolej żelazna przydałaby się nam tu bardzo z Pelotas; już pono jakaś kompania wymiary robiła, obecnie atoli znów wszystko śpi, chociaż przedsiębiorcy żelaznej kolei nie żałowaliby kosztów swych, gdyby linię żelazną przeciągnęli z Pelotas do Jeronymo przez San Felicyano.

Ks. Maciej Pięch.

Pożegnanie.

Obok dworka na pagórku
Tęskny młodzian stał,
I ku druhom w pożegnaniu
Białą chustką wiał.

I gdy rzeczkę już minęli,
Gdy ich lasek skrył,
Spojrzał młodzian — na dolinie
Kłąb się kurzu wzbił.

Więc ku ziemi spuścił oczy,
Łzą się zaćmił wzrok,
A na duszy znów sierocej
Zapadł smutku mrok.

I po chwili wzdłuż doliny
Spojrzał młodzian w dal,
I z wiatrami za druhami
Posłał głosny żal:

„Bracia moi, towarzysze,
Szczęść wam Boże w świat!
Wam los drogę kwieciem ścieli
Od najmłodszych lat.“

„Mnie jednego ach biednego
Wciąż przygniata ból,
Dla mnie wiernie, rosną ciernie
Śród szerokich pól“.

„Wy na świecie zakwitniecie
Śród pogody tam,
Ja z tęsknoty pośród słoty
Zwiędnę tutaj sam.“

„Do was, bracia, niedoleci
Mój żałosny głos,
Troska wieczna i ból wieczny
Pobielą mi włos.“

„A gdy kiedyś w szczęsnej dobie
Głośny huknie grom...
Wy przyjdziecie i znajdziecie
Po mnie pusty dom.“

„I na innym już pagórku
Gnieść mnie będzie głaz,
I badyle na mogile
Wzrosną z cierniem wraz.“

W. D.

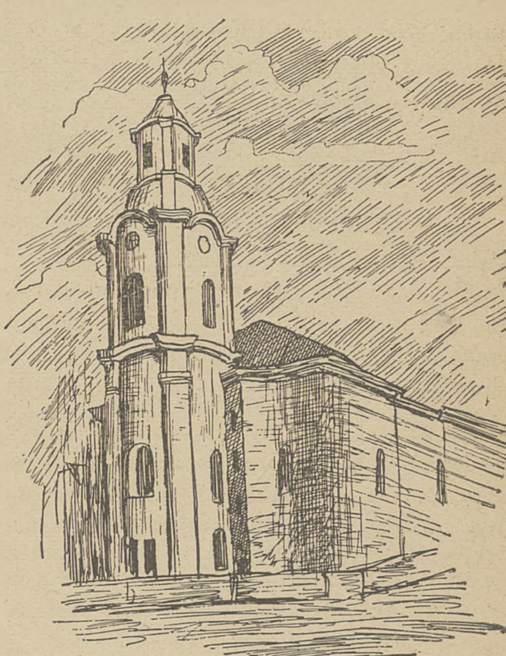
Z ojczystych stron.

Rydzyna.

XXVI.

„Spojrzyj z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemie.....“

Rydszna, później Rydzyna założoną została przez Czecha, hr. Wirbna, który wybudował zamek i kościół i przyjął nazwisko „Rydzyński“. Dokumentów nie pozostało żadnych, ale pieczęć miasta nosi rok 1422. W tym więc czasie była Rydzyna już miastem. — Wskutek wojen tureckich w 15 wieku, nakładano na miasta polskie znaczne bardzo ciężary. Oprócz podatków musiało każde miasto dostawiać zbrojnych żołnierzy, każdy chrześcianin płacił 2, żyd 4 grosze „pogłównego“, nauczyciele zaś szóstą część ich dochodów. Rydzyna dostawiała 4 zbrojnych, stała więc na równi z Nakłem, Zbąszyniem, Międzychodem i t. d. W r. 1507 udzielił król Zygmunt Stary Piotrowi i Mikołajowi Rydzyńskim pozwolenia, odprawiania w ich mieście targów i jarmarków. Zygmunt August potwierdził to i nadał w r. 1551 miastu prawo magdeburskie. Odtąd odbywały się co Czwartek targi i dwa co rok jar-



Kościół w Rydzynie.

marki. Później prosił raz jeszcze Łukasz Rydzyński Stefana Batorego o potwierdzenie prawa magdeburskiego, i Batory zgodził się na to. Teraz nie był już najwyższym sędzią ani wojewoda ani kasztelan, tylko burmistrz i sędzia, którym do pomocy dodano ławników i przysięgłych.

Po Rydzyńskich stali się właścicielami całego majątku Czerwińscy, potem Ciświcowie, od których kupili Rydzynę Leszczyńscy.

Podczas wojny trzydziestoletniej przybyło i do Rydzyny bardzo wiele Niemców-lutrów. Prześladowani w własnej ojczyźnie, cieszyli się w Polsce wszelką swobodą wyznania i osiedlali się tłumnie w polskich miastach.

W r. 1665 wybudowali Leszczyńscy nowy, piękny zamek na małej wyspie, tuż pod lasem. Kształt zamku miał literę L. na pamiątkę nazwiska dziedzica.

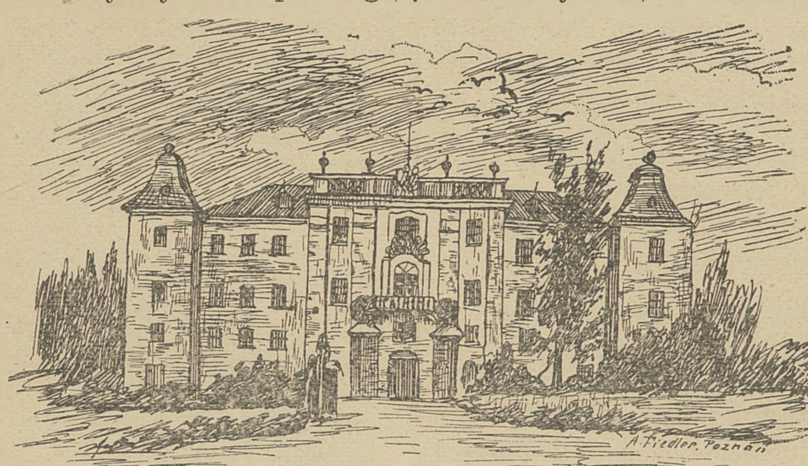
Ciężkiem nieszczęściem dla Rydzyny

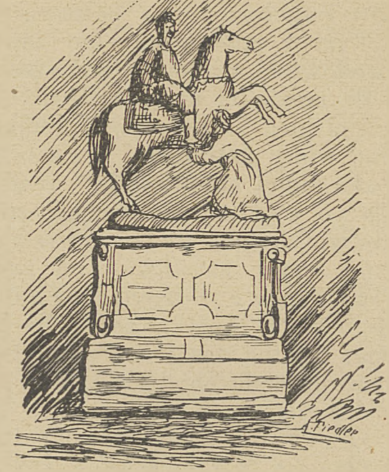
była wojna szwedzka w r. 1707. Zamek został zburzonym, a Moskale i Szwedzi wtargnęli do miasta i zburzyli je do szczętu. Ale Stanisław Leszczyński kazał zamek odbudować, August II zaś tak polubił Rydzynę, że bawił tu często, i w r. 1714 zawarł nawet w zamku rydzyńskim pokój z Rosyą. W r. 1738 kupił miasto książe Józef Sułkowski, a kilka lat później spalił się zamek. Sułkowski odbudował go więc z niesłychanym przepychem i wystawił oprócz tego tyle jeszcze domów, że nowa ulica dochodziła prawie do Leszna. Sułkowski nowe nadał miastu prawa w polskim języku, i tak od r. 1752 działo się wszystko w Rydzynie podług „statutów Sułkowskiego.“ Książe miał nawet własne, chociaż nieliczne wojsko i szkołę kadetów, a gdzie tylko się ukazał, towarzyszył mu świetny orszak rycerzy, tak, że nieraz występował okazalej, niż sam król. Sułkowski był najzaciętszym nieprzyjacielem króla Fryderyka II pruskiego, który mszcząc się na nim, wysłał 5000 żołnierzy na Rydzynę i kazał księcia wziąść do niewoli. Takiej sile nie mógł się książe oprzeć. Uwięzionego przewieziono do Głogowy, wojsko jego rozpuszczono i zabrano wszystko, co się tylko dało. Ponieważ Sułkowski wielu miał w Polsce zazdrosnych i niechętnych, przeto nikt mu nie spieszył z pomocą, i byli nawet tacy, którzy bardzo się z jego klęski cieszyli.

Rydzyna tymczasem miała coraz to więcej mieszkańców, i przemysł i handel rozwijał się pomyślnie. Rzemieślnicy zakładali cechy, burmistrz uzyskał pozwolenie sprowadzenia piwowarów i gorzelanych, tak że w r. 1692 wywieziono z miasta 2088 beczek piwa. Głównie jednak stawiano wiatraki, w najbliższej okolicy Rydzyny było ich 24. Odprawiano co rok 8 jarmarków, z których jeden trwał 30, a drugi 23 dni. Ale jarmarki te nigdy wielkiego nie miały znaczenia, może dla tego, że Leszno było za blizko. Mieszczanie piękne budowali domy i wystawili ratusz. Z pozostałości obywateli, którzy umierając, żadnych nie pozostawili spadkobierców, założono szpitale, z których jeden dawał całkowite utrzymanie siedmiu chorym i ubogim.

Następca księcia Józefa, August Sułkowski, zmienił zamek i upiększył go tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz. Wszystkie salony urządzone teraz były w stylu francuzkim i nawet całkowitego teatru z sceną i kulisami nie brakło. W r. 1772 fundował książe kościół, kollegium i szkołę, a dwa lata później ustanowił majątek rydzyński jako ordynacyę.

Wspaniały zamek wielkie przechowuje skarby i pamiątki przeszłości, i wiele się też podań łączy do starych jego murów. W zamku znajduje się kaplica, o której do dziś jeszcze rozmaite pomiędzy ludem zachowały się baśni. Przed kaplicą jest pokój, w którym wisi obraz jakiejś kobiety. Kto obraz ten malował, kogo on przedstawia i jakim sposobem znalazł się tutaj, tego nikt nie wiedział, i nikt się też pewnie tego nie dowie. Obraz ów nie jest wcale podpadającym, tylko wyraz twarzy kobiety jest troche ostry i prawa ręka dziwnie skrzywiona. Palce jej zdają się być kurczowo zgięte, tak jakgdyby się stały bezwładne po dokonaniu jakiej zbrodni. Powiadano, że przed kilku set laty miała tu popełnioną być ciężka zbrodnia na dwóch sierotach, ale podanie to było tak ciemne i niewyraźne, że nikt w to nie wierzył. Jedynie widmo jakiejś kobiety utrzymuje lud w przekonaniu, że baśń ta jest prawdziwą. Od czasu do czasu miała się ukazywać w kurytarzu klęcząca kobieta, pogrążona w modlitwie, nie straszyła jednak mieszkańców zamku i nie była zwiastunem nieszczęścia. Raz w rok tylko, w Wrześniu albo w Listopadzie, dzieją się w nocy okropne rzeczy, tak, że nikt w zamku spać nie może, a nawet ci, którzy nic nie widzą i nic nie słyszą dziwnego doznawają niepokoju. Chociaż słońce świeci jasno przez dzień cały, pokrywa się nad wieczorem niebo nad zamkiem ciemnemi chmurami i chociaż wiatru nie ma, poruszają się gwałtownie liście i gałęzie drzew. O 11 słyszeć się daje szelest w kaplicy, tak jak gdyby ktoś przesuwał i ustawiał ławki, a z uderzeniem dwunastej otwierają się drzwi kaplicy same, świece zapalają się, i przy ołtarzu klęka kobieta w białej, długiej sukni, z rozpuszczonemi włosami i twarzą, zmarszczoną bólem. Ksiądz w ornacie wychodzi, odprawia mszą św. ale ksiądz ów, to szkielet tylko, a przed nim klęczą dwa szkielety ministrantów, z których jeden trzyma mszał a drugi ampułki. Po skończonej mszy św. zasiada kapłan w konfesyonale, kobieta zaś przystępuje do spowiedzi i płacze i jęczy. Z trupiej czaszki księdza spływa pot, obraz kobiety, wiszący na ścianie, zaciemnia się, i łoskot grzmotu daje się słyszeć. W końcu pochyla klęcząca głowę i prosi cicho: „Przebaczenia“! ale ksiądz odpowiada surowo: „W tym roku jeszcze nie?“ Ksiądz milczy. wskazuje na szkielety ministrantów i znika. Świece gasną, drzwi kaplicy zamykają się, i wszystko wraca do dawniejszej ciszy i spokoju.


Zamek w Rydzynie.


Pomnik Sobieskiego w parku rydzyńskim.

I pomiędzy ludem przechowało się wiele podań z dawnych czasów, a mianowicie baśnie o ukrytych skarbach. W blizkości wsi Luboni, oddalonej mniej więcej o milę od Rydzyny, stał niegdyś wielki warowny zamek. W sklepach tegoż zamku leżały ogromne skarby, które każdy nowy właściciel Luboni widział pierwszej nocy we śnie. Ale skarby te mogły być tylko odkopane rękami niewinnych dzieci. Niejeden dziedzic zamku pragnął pozyskać owe bogactwa, obawiał się jednak wyciągnąć rękę po nie, i dopiero, gdy Lubonia przeszła na własność pani Zborowskiej, miały skarby te być wydobyte. Pani Zborowska ujrzała je także pierwszej nocy we śnie, a że była niezmiernie chciwą, przeto zwołała z wszystkich swoich wsi dzieci aż do trzech lat mające i kazała im kopać w rozległych sklepach zamkowych. Nie zważając na zmęczenie maleńkich robotników, nagliła ich do roboty groźbą i biciem i tak biedne dzieci, płacząc i jęcząc, pracowały zakrwawionemi rączkami. Jeden kamień po drugim został usuwany, nareszcie ukazały się żelazne drzwi, potem jeszcze inne drzwi, które z natężeniem wszystkich sił musiały dzieci wyłamać. Trwało to niezmiernie długo, ale w końcu usunięto i tę zaporę i wtedy ujrzano całe stosy złota. Pani Zborowska rzuciła się natychmiast na ogromne te skarby i już dotykała ręką złota, gdy nagle dał się słyszeć na dworze przerażający okrzyk. Wszyscy wybiegli z sklepu i ujrzeli na górze, zowiącej się do dziś jeszcze Łysą górą, jakiegoś jeźdźca na koniu.

— Szatanem jestem — krzyknął jeździec — i skarby te do mnie należą! Biada temu, kto ich dotknie! Ogniem ukarzę śmiałka!

Wszyscy stali jak skamieniali, jedna tylko pani Zborowska nie straciła odwagi. Spokojna, wróciła do sklepu i wzięła pełną garść złota. W tej samej chwili krzyknęli ludzie:

— Gore, gore! Pawłowice palą się.

I rzeczywiście, cała wieś zgorzała do szczętu, a mnóstwo rodzin wieśniaczych zostało bez dachu. Pani Zborowska nie zważała na to i znów poszła po pieniądze do sklepu.

— Gore, gore! — krzyknęła służba równocześnie.

Tym razem spaliło się Zdzitowiecko. I w ten sposób spłonęło dwanaście wsi. A gdy pani Zborowska nie przestawała brać złota z sklepu, zbuntowali się ludzie, zabili ją i zasypali nieszczęsne skarby na wieczne czasy.

Gdy Rydzyna została przyłączoną do Prus, liczyła 1796 mieszkańców, pomiędzy tymi było 171 żydów, Wówczas było tam dużo płócienników i 24 wiatraków, dziś jest ich tylko 9. W nowszych czasach założono w Rydzynie fabrykę cygar.

Miasto w bardzo pięknej leży okolicy i ma wygodne połączenie koleją z Poznaniem i Wrocławiem, pomimo to liczba mieszkańców zmniejsza się z każdym prawie rokiem. Obecnie jest ich 1164. I gwiazda Sułkowskich zbladła nieco, a w zamku, w którym niegdyś wrzało życie i panował zbytek nieomal królewski, jest dziś cicho i spokojnie. I czy wrócą kiedyś dawne świetne czasy — któż to wiedzieć może!

Kronikarz „Pracy“.

Jęczą dzwony...

Jęczą dzwony, żałośnie oj jęczą,
W koło trumny ludziska hej klęczą;
Huczą dzwony i skarżą się, płaczą
Swoją głuchą, spiżową rozpaczą.
Słychać szepty, westchnienia i łkanie:
Odpoczynek mu wieczny daj Panie!

A w tej trumnie, w tej czarnej trumience,
W tem giezełku, w śmiertelnej sukience
Duch mój biedny złamany spoczywa,
Krew go serca, krew ciepła okrywa,
On, co niegdyś wybiegał w niebiosy,
Legł i żadne nie zbudzą go głosy.

Niegdyś duch mój miał skrzydła sokole,
Wzlatał niemi nad łany, nad pole,
W niebios głębiach błękitnych się pławił,
Z promieniami się pieścił i bawił,
Na miesięcznych promieniach się wieszał,
Z gwiazdeczkami w przezroczu się cieszał.

Świt go budził, kąpały go zorze,
Kołysało westchnieniem go morze,
Las go szumem spowijał w marzenia,
Wiatry dumy gwarzyły i pienia,
I żył szczęsny nad świata mrowiskiem,
Nad niedoli wszechludzkiej ścierniskiem.

Lecz znalazło się dziewczę niestety...
I jak zwykle kapryśne kobiety
Ducha mego w swe ręce chwyciła
I jak lalką się duchem bawiła.
To go płaczem, to śmiechem witała,
Aż mu skrzydła sokole złamała.

I mój biedny, mój duch, mój świetlany,
Z zbarczonemi padł skrzykły złamany,
Padł z pod stropów, wśród których się ważył,
Padł na ziemię, na którą się skarżył,
I nie powstał, nie dźwignął się więcej,
Padł ofiarą igraszki dziewczęcej.

Dziś, gdy w trumnie legł cichy, zbarczony,
Gdy na pogrzeb zajękły mu dzwony,
Tłum się zbiega i patrzy kamienny
Jak się w śmierci duch zmroczył promienny,
Jak pogasły w nim myśli jarzące,
Jak zastygły uczucia w nim wrzące.

Ostrów 1899. *Witold Leitgeber.*

Kuba-dzwonnik.

Stara dzwonnica w Brominie, wznosząc się tuż obok świątyni Pańskiej, dziwną z nią stanowiła sprzeczność.

Kościół, odbudowany po pożarze pod koniec wieku 18-go, zmienił się pięknie, dzwonnica pozostała, jaką była.

Dziwnie wyglądał ten kościół kamienny, z bogatemi ozdobami na tle zielonych brzóz cmentarza i w otoczeniu poczerniałych krzyżów, strzegących wiejskich mogił. A obok niego dziwniej jeszcze wyglądała ogromna, ciosowa dzwonnica.

Była w tej dzwonnicy na dole izba o jednem małem okienku, a jego sześć szybek roztęczonych o zachodzie słońca robiło wrażenie barwnego malowidła.

Na górze — wisiały trzy dzwony. Pośrodku dzwon wielki, pękaty, dwa inne nieco wyżej, na jednym poziomie z sobą zawieszone, smuklejsze, niby młodsze pokolenie u boku starca.

Wielki dzwon nosił imię Floryana. Na brzegu miał napis wyraźny: „me fecit Floryanus... a. D. 1540.“ Stary był zielony, i spokojnie drzemał sobie, zawieszony na ciężkiem, modrzewiowem belkowaniu. Przez otwory, których było ośm — po dwa na każdą świata stronę — wpadał do dzwonnicy wiatr i huczał między dzwonami, wył i świstał, ale głosu ze spiżu wydobyć nie umiał.

Potrafił to jeden tylko Kuba, kulawy dzwonnik, który od lat 30 z górą zamieszkiwał izbę na dole i wyhodował tyleż pokoleń jaskółek, bo te co roku z zaufaniem przylatywały do starej dzwonnicy na komorne i wśród misternego jej belkowania wiły sobie gniazda.

Kuba miał lat 60. Nie wyglądał jednak na tyle. Siwy z przystrzyżoną krótko czupryną i wygolony, bez brody i wąsów, robił wrażenie jędrnego, czterdziestokilkoletniego człowieka. Nosił się porządnie i czysto. Miał buty wysokie, spodnie w paski białe z niebieskim, z materyału, przypominającego kiecki niewiast i zapaski dziewuch bromińskich, koszulę zgrzebną, ale wypraną zawsze i czerwoną tasiemką u szyi związaną, na niej kamizelkę długą, na dwa rzędy guzików, a na głowie kaszkiet, trochę już wytarty, ale pamiątkowy, bo kupiony w Częstochowie, na odpuście. Tam Kuba raz w życiu, mimo kulawej nogi, odbył pielgrzymkę, aby Najświętszej Pannie skargi swojego serca zanieść i wymodlić sobie przed Jej cudownym obrazem przebaczenie dla grzesznej duszy. Od owej pory był Kuba wesół i jak mówił, gotów na śmierć: największy on grzech żywota na odpuście zgładził, a zresztą — to i na spowiedzi ostatniej Dobrodziej da sobie radę...

Tedy tylko Kuba jeden potrafił dzwonić we Floryana. I nie dzwonił on, ale grał na tym dzwonie. Na dziesięć parafii w koło nie było takiego drugiego dzwonu, nie było i takiego dzwonnika.

Kiedy na pogrzeb Kuba zadzwonił, to w tem dzwonieniu ostatniem, które żegnało człowieka, odchodzącego z tej ziemi, był ból i płacz, były jakieś łkania dziwne i przejmujące. Tak wdowa płakała po mężu, chłop opłakiwał tak kobietę, gospodynię i towarzyszkę wierną.

A gdy na chwilę „Floryan“ umilkł, wtedy uderzał Kuba jednocześnie we dwa dzwony mniejsze: głosy ich były, jak płacz sierot po matce, co się gdzieś w głąb duszy wwierca i w każdej budzi piersi współczucie i litość nad dolą sierocą.

Miał Kuba swoje sposoby dzwonienia, których nikt prócz niego nie znał. Wiedzieli tylko wszyscy, że inaczej dzwoni na gloria w Wielki Czwartek, inaczej uderza w dzwon podczas sumy Wielkanocnej, inaczej w zwykłą niedzielę. — W święta Matki Boskiej dzwony jego także miały specyalne swoje granie, a wieczorami na wiosnę, przed majowem nabożeństwem, jeszcze inaczej wygrywał na nich. Ponad ruńą zbóż zielonych biegły wtedy takie delikatne, pieszczące tony, że ludzie w polu stawali zasłuchani, upojeni jakby słodyczą tych brzmień, co się przez powietrze niosły, rzucali robotę — i dziewki od pielenia, a chłopi z pól jarych wracali do domu i szli do kościoła śpiewać litanię.

Miał też Kuba swoje dni, w których dzwonił bez powodu, jak mawiał. Było ich kilka w roku.

Nieraz, słysząc takie dzwonienie, zapytał go proboszcz:

— Mój Kubo, czemu to ty grasz dzisiaj?

Wtedy dzwon przestawał się kołysać. Uśmiechnięta, jasna twarz Kuby ukazywała się w jednym z otworów i odpowiadał:

— Ot, tak przyszło — Panu Bogu na chwałę...

Miał jednak Kuba powody, tylko nie mówił o nich, bo to było podzwonne wielkie i święte dla niego.

Grał czwartego kwietnia za poległych pod Racławicami. Tam pradziad jego z kosą w ręku został i kiedy Kuba był chłopcem jeszcze małym, dziad mu zimą przy kominie opowiadał, jak go tam znaleziono pod pniem starej, obalonej sosny, rozszarpanego przez granat moskiewski... Za niego i za tych wszystkich, co z nim razem legli, grał Kuba.

Grał w dzień bitwy grochowskiej, bo tam aż czterech z Bromina pod Olszyną zostało.

Grał wreszcie za tych, co pod Langiewiczem w St. Krzyżkiem walkę prowadzili, grał za swoich kamratów z pod Miechowa i Małogoszczy i za tych, co pod Bromińską dzwonnicą — pod tą samą — zostali niegdyś po krwawej potyczce. Wtedy i jemu zbłąkana kula moskiewska kość w goleni strzaskała, wylizał się jednak po to, aby był dzwonnikiem i za tych poległych dzwonił — ludziom na pocieszenie, a duszom ich na chwałę.

I dzwonił Kuba jak mistrz prawdziwy, przez lat tyle. Łzy ludziom z oczu wyciskał, poprawiał ich i otuchy im dodawał — nie słowem, nie nauką, jeno

tem dzwonieniem swojem. Było to jakby apostolstwo jakieś przez dwony, tajemnic pełne, niezrozumiałe dla mało kogo, ale bogate owoce wydające, bo Kuba dzwonił ludziom z duszy i prosto do duszy.

Był właśnie dzień kwietniowy, rocznica wielkiego dnia pod Racławicami.

Kuba pamiętał o tem od rana. Po mszy długo leżał krzyżem w kaplicy św. Stanisława biskupa, bił się w piersi, szlochał, wzdychał i z nabożeństwem usta do zimnej, kamiennej posadzki przytykał żebrząc o zmiłowanie i łaskę dla ziemi łez pełnej.

Potem poszedł do dzwonów. Obejrzał je i zadowolony widocznie z ich stanu, zeszedł na dół do izby, gdzie się przebrał odświętnie, a że się już ku obiadowi miało, wyruszył na plebanię.

Zjadł, co mu dali, zakurzył krótką fajeczkę glinianą, rozparł się wygodnie na ławie i milczał.

Nie brała go ochota do pogawędki z kucharką księżą. Chłop mowny zazwyczaj, siedział teraz, ani ust nie otwierając. Dumy tylko jakieś szły mu przez głowę i po oczach znać było, że mu się dusza czegoś raduje.

Po chwili jednak wstał. Coś mu w ucho szeptało, aby już szedł na dzwonnicę.

— Czas, czas zaczynać, mówił sobie.

Pożegnał kucharkę i wyszedł. Skierował się ku kościołowi. Na cmentarzu ziemia była wilgotna, rozmiękła. Bił od niej zapach, drażniący nozdrza, silny, świeży. Zdźbła młodziutkiej trawy zaczynały ledwie wyścibiać główki, brzozy białokore stały jeszcze bez liści, ale gałązki ich pokryte już były nabrzmiałemi pączkami, które lada dzień miały się rozwinąć.

Kuba szedł z lubością wciągając w płuca powietrze dnia wiosennego. Ciepły wiatr, idący od pól dalekich, łagodną falą w twarz mu uderzał, słońce grzało go w plecy, niewysłowioną jakąś rozkosz starym sprawiając kościom. Dobrze mu było i spokojnie w tej chwili — na cmentarzu, w otoczeniu tych mogił, które znał od dziecka niemal, pośród tych krzyżów prostych, w rozmodleniu dziwnem i rozmyślaniu wyciągających ramiona ku niebu, jakby na przebłaganie za grzechy ludzkie.

Przysiadł Kuba na ławeczce i myślał o tych krzyżach namogilnych. Tyle ich tu było, i starych i nowszych. I jemu tu kiedyś także krzyż postawią, niedługo już może. Każdy ma przecież swój krzyż... Przez życie dźwiga go na sobie, uginając się pod nim, a kiedy do mogiły zejdzie — złoży ten ciężar, z którym szedł, i wówczas krzyż mu wkopią — tam, gdzie w poświęconej ziemi miejsce się dla niego znajdzie.

Długo przesiedział tak Kuba w zamyśleniu, bo dobrze już słońce ku zachodowi się chyliło, kiedy proboszcz, drzemiący w fotelu, obudził się nagle.

— Sen czy jawa? myślał, przecierając oczy.

W uszach dźwięczały mu pełne, doskonałe tony „Floryana“.

Szły jeden za drugim, nabrzmiałe bólem i prośbą. W rozjęczeniu ich była rozpacz niemal i zarazem wielka, chrześciańska pokora, coś szarpiącego duszę aż do głębi i jednocześnie niezmierna słodycz jakaś, uciszenie i łagodność.

Zerwał się ksiądz na równe nogi i słuchał.

Tak Kuba nigdy jeszcze nie grał.

— Czarodziejstwo, czy co takiego? szeptał zdumiony. Słyszał to kto? Z jednego dzwonu tyle wydobyć.

A dzwon tymczasem huczał i jęczał, płakał i modlił się dalej.

Przez otwarte okno wpadały do pokoju fale rozkołysanego brzmieniem tej dziwnej muzyki powietrza, uderzały o ściany, o sufit, całowały stopy Chrystusa na krzyżu, co wisiał nad klęcznikiem, układały się warstwami w całem mieszkaniu i drżały, drżały ciągle głosem tajemniczym, który aż gdzieś w nieskończoności ginął, cichł, rozpływał się, topniał.

— A bogdaj go! — myślał ksiądz proboszcz, ale słuchał i nie mógł się nasłuchać.

Wyszedł nareszcie z plebanii i podążył w stronę dzwonnicy.

Kiedy się zbliżył do starych jej murów, przystanął. W tej chwili muzyka przycichła. Ostatnie uderzenia rozkołysanego serca o spiż dźwięczały jeszcze długo, przeciągle, niby orkiestra biegłych smyczków, grających jakąś melodyę sfer zaświatowych, zamierającą zwolna, nieuchwytnie. Ale nim brzmienie ostatnie dogasło, dzwon uderzył znowu silnie, potężnie.

Mury rozdźwięczały się drugą pieśnią, inną. Była ona jak psalm pogrzebu, — tylko nie beznadziejny, ale mocny, jakby męzką spiewany piersią, niby hołd i pożegnanie, złożone bohaterom.

Ksiądz spojrzał ku górze. Przez otwór widać było kołyszący się dzwon. Kuby jednak nie zobaczył.

— Gdzie on się ukrywa? — pomyślał.

Zdjęła go w tej chwili gwałtowna chęć wejścia do kryjówki dzwonnika. Ciekawość nie pozwalała mu już spokojnie słuchać. Chciał teraz zobaczyć, jak Kuba gra, jakich forteli używa, żeby takie głosy różne ze starego dzwonu wydobyć, jaką siłą ciężar taki porusza?

Zakasał sutannę i wszedł przez chwiejącą się na zawiasach furtę do wnętrza. W pomroce namacał ręką schody. Po wązkich, krętych stopniach dostał się na górę. Było tam nieco widniej, ale i tu Kuby nie dojrzał. Widział tylko, że dzwon się kołysze. Huczał mu w uszach potężny jego głos, czuł, że całe belkowanie dzwonnicy drży od tej muzyki, dostrzegł nawet, jak trzęsą się wątłe pajęczyny, wiszące u pułapu — Kuby tylko nie widział.

Wtem w ucho wpadł mu głos czerstwy, głos starego dzwonnika.

— Za naczelnika, za Kościuszkę.

I dzwon uderzył mocniej jeszcze, niż przedtem.

Bboże! Bboże! Bboże! zahuczało w całej dzwonnicy po trzykroć.

Księdzu zdawało się, że to nie dzwon woła, ale że mocny głos ludzki, poważny, jak w chwili kiedy się „wieczne odpoczywanie“ mówi, z niewidzialnej, potężnej piersi ku niebu się wyrywa.

Zdumiony, rozejrzał się do koła.

Postąpił dwa kroki naprzód i zobaczył.

Kuba, rękoma zaczepiony o belkę, na której dzwon wisiał, objął nogami spiżowe cielsko i z całym impetem kołysał się — razem z belką i z dzwonem.

Trzy ciała, w dziwnym takim uścisku splecione, tworzyły jedną całość. Belka, dzwon i ten stary, kołyszący się z nimi człowiek — dawały obraz, jakby żywego dzwonu.

Tak to był dzwon — człowiek, dzwon żywy, dzwon, który czuł, myślał i cierpiał.

Ksiądz patrzy, ale rozumować nie mógł.

A Kuba tymczasem, upojony graniem, kołysał się dalej i dalej.

— Za Bartka Głowackiego — wymówiły jego usta.

I dzwon zahuczał znowu potężnie i czysto: Bboże! Bboże! Bboże!

— Za Stacha Swistackiego — mówił dalej Kuba.

Bboże! Bboże! Bboże! trzykrotnie dzwon odpowiedział.

Księdzu łzy stanęły w oczach. Zrozumiał teraz starego dzwonnika. Przypomniał sobie nawet, że to dziś czwartego kwietnia.

I uczuł ogromną chęć wziąść tego starca w ramiona, przycisnąć go do serca i podziękować mu za pamięć, za miłość, za to przypomnienie, podziękować w imieniu tych wszystkich, co już nie pamiętają, w imieniu tych, co mniej coraz, coraz słabiej kochać umieją.

— Kuba! — zawołał proboszcz.

W tej chwili Kuba, zbudzony niespodziewanie z marzenia, zachwiał się na dzwonie, ręce jego wypuściły grubą belkę modrzewiową, rozkrzyżowały się i stary dzwonnik runął głową na dół, tuż pod stopy księdza.

Dzwon umilkł.

Ksiądz zdrętwiał. Po chwili wrócił do siebie. Przyklęknął szybko nad Kubą i pochylił się nad jego twarzą. Z ust wąskim strumieniem sączyła mu krew.

Zgnieciona klatka piersiowa, potrzaskane żebra, zwichnięta ręka, szeptał proboszcz.

W tem Kuba jęknął cichutko, kilka razy głębiej odetchnął, aż powietrze z chrzęstem i świstem wydobyło się po raz ostatni z płuc, krwią zalanych i uleciało w przestrzeń razem ze słabem, gasnącem brzmieniem „Floryana“.

Ksiądz przeżegnał się i począł szeptem odmawiać: „Ego te absolvo in nomine Domini.....“

I zdawało mu się, że jakieś duchy świetlane wypełniają dzwonnicę i przychodzą po starego Kubę, aby go zabrać z sobą.

On z nimi już przedtem obcował.

Zdzisław Dębicki.

Złote myśli.

Wszystko, cokolwiek wielkiego i pięknego macie w naszych dziejach, zwraca w krainę intuicyi, to jest krainę wewnętrzną ducha.

*

Nie można poznać narodu, nie sięgnąwszy aż do jego bogów.

Adam Mickiewicz.



LATO.

Pogodne słoneczko na zachód się zniża,
Liście z drzewa lecą, jesień się przybliża;
W wieńcu przeplatanym jabłkami, gruszkami,
Już lateńko, lato staje przed wrotami:
-- Cóż odemnie chcecie, alboż to wam mało?
Przyniosłom wam zboże co w polu bujało
Przyniosłom maliny i słodkie jagody,
Makiem, stokrociami barwiło ogrody.

W łąkach wychuchałom gwoździki, ostróżki,
Hodowałom zięby i kukułki wróżki.
Owiewałom w pracy leciuchnym powiewem,
Usypiałom ptasząt rozkochanych śpiewem,
Rozpuściłom rzeki po szerokiej ziemi,
I małe strumyki niciami srebrnemi.
I cóż więcej chcecie? powiedzcież mi za to:
Dobreś ty lateńko, Bóg ci zapłać lato.

L.

Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

— Bardzo chętnie ustępuję mu ten kawałek ziemi, — rzekł Richarder do notaryusza.

Alfred tymczasem zbliżał się szybko do — pałacu. — Wszystkie okna były zamknięte i zasłonione, żywa dusza nie ukazywała się dotąd. Zadzwonił więc raz i drugi, i potem dopiero otworzono drzwi, a na progu stanęła stara wieśniaczka, z ogromnym burakiem w jednej, a kuchennym nożem w drugiej ręce.

— Hrabia Albernon w domu? — zapytał nowoprzybyły.

— Nie.

— A hrabianka?

— Hrabianka jest w domu, tak, jak zawsze.

— Czy mógłbym się z nią widzieć?

— Nie wiem, zapytam jej. Proszę o kartę!

— Nie mam kart. Jestem hrabia Alfred Albernon.

— Ach, to pan jesteś krewnym panienki i pana? — zapytała wieśniaczka zdumiona.

— Tak!

— W takim razie proszę do salonu.

Alfred wszedł za wieśniaczką do wnętrza domu. Drzwi wszystkich pokoi były otwarte, a urządzenie całego „pałacu“ wyglądało więcej, niż skromnie.

— Widać, że nie starczy im na zbytki — szepnął z gorżkim uśmiechem.

Salon, do którego wprowadziła go służąca, miał za całe umeblowanie kilka krzeseł, stolików, starą kanapę, a na biało wybielonych ścianach nie było ani makat, ani obrazów.

W tejże chwili weszła do pokoju młoda, podpadająco piękna dziewczyna.

— Dzień dobry, Heleno — zawołał Alfred.

— Ach, to ty! Czemu nas nie uprzedziś o twem przybyciu? — odrzekła, witając go uściskiem ręki.

— Chciałem wam sprawić niespodziankę!

Helena Albernon, wysoka, szczupła, ubraną była skromnie, ale wytwornie Ciemne włosy otaczały białą, delikatną twarz, a wielkie, czarne oczy błyszczały niezwykłą energią i dumą. Czerwone usta nie znały jednak słodkiego uśmiechu — przeciwnie, zwykle mocno zaciśnięte, wyrażały nieugiętą wolę i silny charakter. Ale twarz ta była bardzo piękną, pomimo, że pierwsza młodość minęła — Helena bowiem liczyła obecnie 25 lat.

Alfred obejrzał się i westchnął.

— Widzę, że nie świetnie wam się powodzi — rzekł. — Ja zaś sądziłem, że posiadacie rocznie przynajmniej dwakroć stotysięcy franków!

Helena zmarszczyła groźnie brwi. Wyraz nienawiści zajaśniał w jej oczach, i gorące łzy bezsilnego gniewu spłynęły po jej białej twarzy.

— Pójdź — rzekła, ujmując rękę kuzyna — muszę z tobą pomówić o ważnych rzeczach. Zdaje mi się doprawdy, że sam Bóg cię tu zesłał.

— Powiedz raczej szatan, to byłoby właściwiej — odparł Alfred, śmiejąc się.

— Pójdź, pójdź — powtórzyła niecierpliwie.

Od dziesięciu lat włóczył się Alfred po świecie, chcąc koniecznie dorobić się majątku. Objechał całą nieomal Amerykę, Australię i Egipt, był w Konstantynopolu, w Bułgaryi i w Marokko, jednem słowem w wszystkich tych krajach, gdzie zwykle awanturnicy szukają szczęścia i łowią ryby w mętnej wodzie. Ale on daremnie wyrzucał sieci — nie mógł niestety żadnej złowić ryby, pomimo, że nie zawsze liczył się z uczciwością i sumieniem. W obcowaniu z najrozmaitszymi ludźmi przyswoił sobie wygodny sposób myślenia i postępowania i nabrał bardzo elastycznego pojęcia o honorze.

Gdy przed dziesięciu laty opuszczał Francyą, byli krewni jego bardzo jeszcze bogaci. Z Heleną zgadzał się dawniej zawsze doskonale; oboje mieli te same przekonania i upodobania, Henryk zaś, który był słabym i chorowitym musiał nieraz wielkie znosić przykrości od nich obojga. Mianowicie Helena wywierała niezmierny wpływ na brata. Henryk drżał przed nią i był jej posłusznym, jak dziecko, a jeżeli czasem starał się postawić na swojem i oprzeć się jej woli, to zdarzało się wtenczas tylko, gdy ciężkie cierpienie nerwowe, jakiemu od urodzenia podlegał, ustępowało na chwilę. Wtedy był i on energicznym i otrząsał się z niewoli, ale skoro krótkie godziny zdrowia mijały, stawał się znowu uległym i bojaźliwym.

Działo się tu jak zwykle na świecie: wola charakteru, skłaniająca się ku złemu, panowała nad słabem, bezsilnem i trwożliwem usposobieniem.

W czasie całej swej nieobecności nie dawał Alfred żadnego o sobie znaku życia, tak, że uważano go już za nieżywego i zgubionego w wirze świata. Przybywszy do Francyi, dowiedział się o śmierci stryja Eryka, bliższych szczegółów nikt mu jednak nie udzielił.

Helena zaprowadziła go teraz do swego buduaru, urządzonego nieco wytworniej. Były tu stare, haftowane kanapki i krzesła, wielkie zwierciadło nad kominkiem i fortepian.

— Spodziewam się — zaczął Alfred — że wytłumaczysz mi najprzód, dla czego będąc młodą, piękną i ambitną, nie wyszłaś dotychczas jeszcze za mąż! Dla czego mieszkasz na tym nędznym folwarku i walczysz z nędzą?

— Owszem, powiem ci to zaraz! Życzyłam sobie zawsze być bogatą i używać świata, tymczasem zaś...

I w krótkich, urywanych słowach opowiedziała mu, jakie od lat dziesięciu wiodła życie. Mogła była wyjść za mąż, ale gdy starający się o jej rękę usłyszał, że nie ma żadnego majątku, cofnął się czemprędzej. Po śmierci ojca nie zostało nic, jak ogromne długi. Serce jej przepełniała nienawiść dla tego do ojca, który nie dbając o przyszłość dzieci, zmarnował lekkomyślnie milionową fortunę, wyrzucając na swoje przyjemności złoto pełnemi rękami.

— Nie mamy nic, zgoła nic — powtarzała z rozpaczą. — Musieliśmy sprzedać wszystko, opuścić Paryż i zakopać się tutaj, w tem pustkowiu! Szczęście, że Henryk studyował medycynę, i że złożył egzamin, leczy więc dzierżawców i wieśniaków, ale nie ma wielkiej praktyki, bo nie może trzymać konia. Ja zajmuję się domem, a gdy stara Urszula jest chorą, to muszę nawet sama gotować.

— I nie ma widoku wyjścia z tej nędzy?

— Nie, żadnego! O, co do mnie — zawołała z uniesieniem — to nie przebierałabym w środkach, aby się wydostać z tego położenia, ale nie widzę żadnego!

— Zupełnie tak, jak ja!

— Powiedz mi, chciałbyś ty się ożenić?

— No, zależy od tego z kim.

— Z piękną, młodą dziewczyną, posiadającą kilka milionów?

— Gdzież znaleść taką gąskę? — zawołał szyderczo.

— Dowiesz się, ale...

— Acha! Jest już jakieś „ale“.

— Nie, nie, jest to najszlachetniejsza dziewczyna na świecie.

— Więc rodzice jej byli zbrodniarzami?

— Bynajmniej.

— W takim razie nic już nie rozumiem.

Mówiłeś, że i ty nie uląkłbyś się niczego, aby dojść do majątku?

— Tak jest.

— Więc słuchaj! Znam tu pewną dziewczynę, o którą nikt się jeszcze nie starał. Jest to córka pana Richardera.

— Właściciela zamku Pereuse?

— Tak. Ma ona pięć albo sześć milionów posagu, i z tą właśnie musisz się żenić.

Alfred patrzał na mówiącą z nieopisanem zdumieniem.

— Żartujesz pewnie, rzekł nareszcie.

— Wcale nie!

— Sądzisz więc, że wystarcza, abym się pokazał w mych podartych butach, wyszarzałym surducie i zgniecionym kapeluszu, aby młoda, piękna milionerka rzuciła mi się w objęcia i zawołała:

— Otóż to mój ideał! Wybrany mego serca!

Skoro przestaniesz żartować, możemy rozmawiać o czemś innem, poważniejszem.

— Nie mówiłam, że rzecz ta jest łatwą, ale w każdym razie jest to możliwem, — odrzekła Helena sucho.

— Ale jakim sposobem...

— To już twoja rzecz, — przerwała, wzruszając ramionami. — Masz wszelki wybór — staraj się o nią w uczciwy albo nieuczciwy sposób, jak chcesz. Główna rzecz, abyś się z nią ożenił.

— Ty nienawidzisz tę dziewczynę!

— Bynajmniej.

— W takim razie nie rozumiem tego doprawdy!

— Ci ludzie są bogaci, mają ogromny majątek — wyrzucili nas z naszego domu, a ja jestem biedną, nie mam nic, dla tego chcę ich pieniędzy i — będę je mieć!

— Więc się potem podzielimy łupem? — zawołał Alfred z złośliwym uśmiechem.

— Tak — odrzekła poważnie, a głos jej drżał tłumionem rozdraźnieniem.

Po tych słowach przykre nastąpiło milczenie. Alfred wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju, potem stanął i podał jej rękę.

— Więc rzecz ułożona! — rzekł krótko.

— Tak! Patrz! — dodała szybko —

przypadek sprzyja ci! Możesz zaraz zobaczyć twoją przyszłą narzeczoną!

— Jakto, gdzie?

— Spojrzyj — tam idą dwie dziewczyny. Wyższą z nich jest Alicya Richarder. Zostań przy oknie.

— Chyba za firanką. Moja twarz nie wygląda w tej chwili zbyt porządnie.

— O to nie chodzi, czy jej się podobasz, czy nie — rzekła Helena z dziwnym uśmiechem.

Alicya i Julia zbliżały się wolno, zrywając polne kwiaty, rosnące nad drogą. Obiedwie były ubrane w lekkie, batystowe sukienki, a szerokie kapelusze ocieniały ich śliczne twarzyczki. Alicya była wyższą i miała jasne włosy, podczas kiedy Julcia piękną była brunetką. Twarz Alicyi biała, różowa, o wielkich szafirowych oczach, zachwycała każdego wyrazem serdecznej dobroci i słodyczy, małe, czerwone usta uśmiechały się wesoło, a cała postać tchnęła nieopisanym wdziękiem i wytwornością.

— No, i cóż? — zapytała Helena, gdy obie kuzynki znikły na skręcie drogi.

— Ależ to prześliczna dziewczyna! — odrzekł Alfred z głębokiem przekonaniem.

— Widzisz, że miałam racyę. Myślę jednak, że ze względu na jej miliony, ożeniłbyś się z nią, chociażby była garbatą, głuchą i kulawą!

— O ty jesteś okropną! — zawołał śmiejąc się. — Przed dziesięciu laty zostawiłem cię, jako niedojrzałego podlotka, a dziś jesteś energiczną kobietą, zdolną do — — wszystkiego!

— Później będziesz mnie umiał lepiej ocenić.

— Nie potrzebuję czekać, wiem już teraz, jaką jesteś. Ale teraz jeszcze jedno pytanie. Nie wspominałaś dotąd nic o Henryku, on może stanąć na przeszkodzie naszym pięknym planom.

— O tak!

— Więc nie warto dopiero rozpoczynać.

— Czy nie wiesz, że ja mogę z nim robić, co chcę? Jednem spojrzeniem zmuszam go do uległości!

— Rozumiem. A zatem biedny zawsze jeszcze jest chory i nerwowy?

— Osądzisz sam najlepiej, czy on rzeczywiście, chociażby chciał, może nam przeszkodzić. Pamiętasz przecież, że dawniej już drżał ze strachu, gdy go łajałam, i że we wszystkiem był mi ślepo posłusznym. Dziś jest tak samo. Nie pozwolę mu się wtrącać do naszych spraw. Ale otóż i on — dodała pogardliwie.

W tejże chwili wszedł do pokoju wysoki, bardzo szczupły, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna o ciemnej, ogorzałej twarzy i pięknych, czarnych oczach. Wyglądał zupełnie, jak Włoch lub Hiszpan.

Henryk Albernon był łagodnym, lękliwym i nieśmiałym. Gdy ujrzał Alfreda, zbliżył się szybko do niego i uścisnął szczerze, jak brata.

— Witam cię, — zawołał serdecznie. — Mam nadzieję, że zostaniesz u nas długo, żałuję tylko, że jesteśmy za ubodzy, aby módz zgotować ci godniejsze przyjęcie.

— Posiadamy rzeczywiście tyle tylko, — dodała Helena szyderczo, — że nie umieramy z głodu. Latem wiedzie nam się lepiej, nie potrzeba opału i światła, ale w zimie musimy się zadłużać i spłacać długi tem, co oszczędzimy latem. Na moją garderobę nie wydaję ani grosza, bo suknie, jakie nosiłam przed pięciu laty w Paryżu, przerabiam sobie teraz sama.

Słowa jej sprawiały Henrykowi widoczną przykrość. Spuścił głowę i milczał, ona zaś mówiła dalej:

— Mam dwadzieścia i pięć lat, jestem piękną, i spodziewałam się innego, świetniejszego życia.

O, ja cierpię podwójnie, za ciebie i za siebie. Wszakże nie mam gorętszego życzenia, jak to, abyś była szczęśliwą i bogatą, aby cię ludzie podziwiali tak, jak na to piękność twoja zasługuje!

Alfred tymczasem, stojący przy oknie, obrócił się szybko.

— Zdaje mi się, — zawołał, — że stało się jakieś nieszczęście!

Helena poznała od razu, że chodzi tu o Alicyę albo o Julcię.

— Cóż takiego? — zapytał Henryk przestraszony.

Wszystko troje zbliżyło się teraz do okna. Julcia leżała zemdlona w objęciach jakiegoś mężczyzny, który biegł prędko z swym ciężarem ku pałacowi. Za nim szła Alicya.

— Kto to jest? — szepnął Alfred.

— Pan Fryderyk Richarder, tak zwany stryj Fritz, brat właściciela zamku. Jest to stary, śmieszny wieśniak, żyjący wygodnie z pieniędzy brata. Julia jest jego córką. Ale co się tam stało?

— Dowiemy się zaraz, wszakże idą do nas!

— Przypadek sprowadza ją tutaj, — rzekła Helena cicho do kuzyna. — Mądry człowiek powinien to wyzyskać.

— Postaram się o zjednanie twego uznania!

W tej samej chwili przybiegła Alicya do okna. Spostrzegła w niem Henryka Albernona, i zdaleka już wołała bez tchu nieomal:

— Ratuj ją, panie hrabio! Prędko, prędko, ratuj pan!

Równocześnie wpadł do pokoju stryj Fritz z swoją córką.

— Co się stało? — pytał Henryk.

— Żmija ukąsiła moją córkę! — jęknął Fryderyk, — jadowita żmija! Gdy Julcia zrywała kwiaty, nie spostrzegła jej, o Boże! Umrze! Moje dziecko umrze! Zabiłem od razu żmiję — oto jest, — dodał wyciągając ją z kieszeni, — słyszałem bowiem, że głowa gadziny roztarta i przyłożona na ranę, jest najlepszem lekarstwem.

Henryk uśmiechnął się.

— Uspokój się pan, — rzekł, nie patrząc na żmiję, — wypalę ranę, i niebezpieczeństwo minie.

Wybiegł z pokoju, aby iść po narzędzia — Alfred tymczasem podniósł żmiję i obejrzał ją uważnie.

— Trzeba ją wyrzucić, — zawołał, i jednym zamachem rzucił ją przez okno w mały staw w ogrodzie. — Córka pana odzyska przytomność za kilka minut, i gdyby ją zobaczyła, przestraszyłaby się na nowo.

— Ah to, prawda, — przyznał stryj Fritz.

— Znam zresztą lepszy środek, niż wypalenie rany, — dodał Alfred, — i jeżeli mi państwo pozwolicie go użyć, w takim razie biorę na siebie wszelką odpowiedzialność za zdrowie i życie panny Julii.

— O, proszę, proszę, uczyń pan, co możesz, — błagała Alicya ze łzami.

Alfred ukląkł, i zanim się otaczający spostrzegli, ujął białą, delikatną rękę dziewczęcia, i do miejsca, na którem widniały dwie czerwone plamki, pochodzące od ugryzienia żmiji, przyłożył usta, sząc jad z rany.

Alicya krzyknęła przerażona.

— To, co czynisz Alfredzie, — rzekła Helena, — jest bardzo wzniosłem i pięknem, ale niepotrzebnie narażasz twe życie. Henryk wypali ranę!

— Ach panie! Jakże jesteś dobrym! — jąkała Alicya wzruszona do głębi serca

Alfred wstał po chwili, i wypłukawszy usta wodą, rzekł, spokojnie:

— Pani kochasz zapewne bardzo kuzynkę?

— O tak, jak siostrę! I nie wiem, w jaki sposób podziękować panu za ten czyn szlachetny!

— Ależ nie warto doprawdy o tem mówić.

Teraz wszedł Henryk, a usłyszawszy o tem, co się stało, zawołał:

— Bardzo to ładnie z twej strony, ale naraziłeś się niepotrzebnie na największe niebezpieczeństwo. Pomimo to opatrzę najpierw naszą śliczną pacyentkę, a potem ciebie!

Jednem, zręcznem cięciem połączył obie rany, ścisnął mocno rękę i nalał kilka kropli chromu. Kwas ten wywołał palenie, i ból wrócił Julci przytomność.

— Nie potrzebujesz się pani niczego obawiać, — uspokoił ją zaraz Henryk, — dzięki bohaterskiemu czynowi mego kuzyna nie grozi ci już żadne niebezpieczeństwo.

Alicya opowiedziała jej co zaszło.

— Więc panu zawdzięczam życie! — zawołała młoda dziewczyna rozczulona. — O, nie umiem wyrazić mojej głębokiej wdzięczności, ale bądź pan przekonanym, że nigdy, nigdy nie zapomnę tego!

Pan Fryderyk siedział z twarzą, ukrytą w rękach i płakał z radości.

— Zabiłeś pan tę niegodziwą żmiję — zapytał go Henryk.

— Tak! Słyszałem bowiem, że głowa jej...

— Gdzież jest owa żmija? — przerwał Henryk z uśmiechem.

— Kuzyn pana wrzucił ją w staw. Czemu?

— Bo panna Julia byłaby się z pewnością przestraszyła, widząc ją znowu — odrzekł Alfred.

Masz słuszność.

Julia i Alicya podziękowały hrabiemu raz jeszcze i zabierały się do odejścia. Stryj Fritz ściskał serdecznie ręce Alfreda.

— Zobaczymy się przecież jeszcze — mówił drżącym głosem, bo myślę, że pan zabawisz tu dłuższy czas. Lubisz pan łowić ryby albo polować?

— Jedno i drugie!

— W takim razie zaprzyjaźnimy się wkrótce!

Helena tymczasem obserwowała uważnie Alicyę, która znowu oka prawie nie spuszczała z Henryka. Gdy się zaś spoj-

rzenia ich spotkały raz na chwilę, pokryła się twarz jej gorącym rumieńcem.

Dziesięć minut później została Helena sama z Alfredem.

— Jesteś genialnym człowiekiem — szepnęła z uśmiechem.

— Nie jestem przynajmniej głupcem odrzekł obojętnie.

— I odważnym.

— Ach, co tam! Do tego, co uczyniłem, nie było potrzeba zbytecznej odwagi!

— Ale...

— Stryj Fritz nie zna się na żmijach! Nie była to wcale jadowita żmija!

— Acha, teraz rozumiem, dla czego wrzuciłeś ją do stawu!

— Bardzo słusznie!

— Widzę, że jesteś dzielnym sprzymierzeńcem, i że można się czegoś od ciebie nauczyć.

I oboje tych zacnych ludzi rozstało się w najlepszej zgodzie i przyjaźni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŁZY.

O szczęśliwi, którzy płaczą,
Piersiom lżej i duszy lżej!
Ja pielgrzymkę mą z rozpaczą
Bez pociechy pędzę tej,
Wziąłeś, Boże, nawet sny,
Daj mi za nie, daj choć łzy!

Wicher mnie jak orlę z gniazda
Strącił w przepaść z bratnich gór;
A orlica jako gwiazda
Zawisnęła, patrzy z chmur:
Nie ma syna! w koło mgły
Boże! jednej, jednej łzy!

Tęskno, obco mi przed okiem,
Ból zapiera w piersi dech,
Żałość mnie odziała mrokiem,
Jako stare gruzy mech,
A przeczucie, zwiastun zły,
Dręczy; — Boże, jednej łzy!

Wszakże Boże! ja nie proszę
O blask, rozkosz siódmych nieb,
O łzę błagam, niechaj zroszę
Łzami gorzki, obcy chleb!
Z męztwem ścierpię krzyże twe,
Ale jedną daj mi łzę!

K. B.

Nasze illustracye.

Dla braku miejsca w zeszłym numerze podajemy dzisiaj opis illustracyi:

Śmierć Przemysława.

Obraz przedstawia chwilę zdradzieckiego morderstwa króla Przemysława. On pierwszy, po długich latach rozdziału państwa na mniejsze księztwa zaczął je łączyć z sobą i przez to wzmagać siłę i potęgę narodu polskiego; po długich latach nierządu i zamieszek, silną dłonią przywracając ład i porządek, przywrócił zarazem tytuł królewski i ukoronowany został w Gnieźnie wraz z małżonką swoją dnia 26 Czerwcu 1295 roku.

Kiedy radość powszechna panowała w całym kraju, otucha wszystkich serca rzeźwiła, margrabiowie Brandeburgscy z domu Anhalt, którzy na zdobycze i łupież w Polsce czychali, ułożyli zmowę nikczemną, ażeby króla tak groźnego dla siebie zgładzić.

Do swego zamiaru namówili Nałęczów i Zarębów z rodu polskich możnowładców, których zuchwalstwo i łakomstwo, na wydzieranie drugim dostatków i mienia, Przemysław zamyślał ukrócić.

W końcu zapust 1296 roku przybył Przemysław do miasteczka Rogoźna, w pobliżu Marchii Brandenburgskiej, i tu dla rozrywki w turniejach i gonitwach ostatnie dnie przebawił.

Kiedy w ostatni wtorek wesoła uczta w noc się przeciągnęła i cały orszak królewski w głębokim śnie pogrążony spoczywał, równo ze świtem dnia 6 Lutego w ranek popielcowy, łatwo gromada morderców do bezbronnego weszła miasta i opanowała mieszkanie królewskie.

Na pierwszą wrzawę i krzyki, porwał się Przemysław z łoża, i niewiedząc z kim ma do czynienia bronił się dzielnie i odważnie. Pod naciskiem przemocy zrąbany i przeszyty śpisami, padł krwią zalany. Zbójcy widząc, że jeszcze dyszy, chcieli go uwieźć z sobą, ale gdy z omdlewającym z ran poradzić nie mogli, dokłuli sztyletami.

Zwłoki królewskie do Poznania sprowadzone i w grobie przodków złożone, oblały łzy całego narodu.

Żył lat 38, a lubo siedm tylko miesięcy królował, kraj podźwignął, wlewając w jego rozszarpane ciało ducha rządu, i myśl jedności państwa pod jednem berłem, której trwałość na przyszłe czasy krwią swoją opłacił.

Na obrazie oprócz wstrętnych postaci morderców, poległych w obronie króla dworzan, widzimy młodą małżonkę Przemysława, Ryksę, królewnę Szwedzką, z małą dzieciną u łona; jest to jedyna córka Przemysława, wydana później za Wacława króla Czeskiego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się we Środę, najpóźniej we Wtorek nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Do Czytelników,

którzy sobie „Pracę“ zapisali na poczcie.

Za wszelką niepunktualność w dostarczaniu „Pracy“ ponosi winę jedynie poczta, która odpowiedzialną jest wobec tych wszystkich Czytelników, którzy sobie „Pracę“ na poczcie zapisali, za regularne dostarczanie naszego tygodnika. To też w razie jakichkolwiek reklamacyi lub zażaleń winni Szanowni Czytelnicy zwrócić się ze skargą wprost do miejscowego zarządu poczty, t. j. do tej poczty, na której sobie zapisali „Pracę“, a nie do nas.

Wiadomości.

Prośba. Potrzebne są nam do skompletowania kwartalników nr. 17, 18, 19, 21, 23, 24, 26, 29 i 31 „Pracy“ z roku bieżącego; upraszamy zatem Szanownych Czytelników o łaskawe nadesłanie nam tych numerów, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Pan J. Strzelecki, zegarmistrz, właściciel składu zegarków i biżuteryi w Inowrocławiu i w Mogilnie, wykonuje bezpłatnie na tarczy każdego u niego kupionego zegarka kieszonkowego fotografię jakąbądź według życzenia. Już za 8,75 mk nabyć można u niego zegarek srebrny z portretem jakimkolwiek.

Zwracając na tę nowość baczną uwagę Czytelnikom naszym, odsyłamy interesowane osoby po bliższe szczegóły do inseratu zamieszczanego stale w „Pracy“.

Mrocza. Donoszę Szanownym Czytelnikom „Pracy“, że dnia 13 b. m. zawiązało się w miasteczku naszem Towarzystwo pod nazwą „Towarzystwo robotników polsko-katolickich“; zapisało się na członków zaraz 57, a 87 się zgłosiło, więc jest nadzieja, iż wszyscy zgłoszeni się zapiszą.

Zarząd składa się z pp. prezesa A. Balcera, zastępcy M. Pawierskiego, sekretarza Fr. Bembnisty, zastępcy sekretarza Fr. Paluchowskiego i skarbnika Fr. Marchewskiego.

Patronem Towarzystwa jest wielce szanowany czcigodny ksiądz dziekan miejscowy, któremu należy się cześć za opiekę, jaką otaczać pragnie Towarzystwo nasze. Mrocza, pomimo swej małej liczby mieszkańców, posiada dwa Towarzystwa. *Fr. P.*

Zmarli.

S. p. ks. Dawid Sartowski, kanonik w 62 roku życia, a w 35 kapłaństwa w Pelplinie.

S p. ks. Bolesław Poradzewski, komendarz w Skoraszewicach.

S. p. ks. Franciszek Krygier, proboszcz dubiński.

S. p. dr. Antoni Osowicki, radca medycynalny z Poznania, w Miedzianowie w 58 roku życia.

S. p. Maryanna Palacz, przeżywszy lat 20 w Jeżycach.

S. p. Julianna z Białkowskich Michałowska, przeżywszy lat 63, w Kórniku.

S. p. Feliks Niedbał w 86 roku życia w Cerekwicy w Poznańskiem.

S. p. Józef Błaszak, przeżywszy lat 46, w Inowrocławiu.

S. p. Wojciech Markiewicz w Kostrzynie.

S. p. Apolonia Pieszyńska z domu Orzechowska, w Mogilnie.

Niech spoczywają w pokoju!



Od Redakcyi.

P. Marya Jańczak. Chętnie przysłalibyśmy kilkanaście numerów na rozdanie, ale na liście Pani nie wskazany adres.

Panu J. B. w Trzemesznie. Nadesłanego wiersza p. t. „Prawda“ nie możemy zamieścić ze względów prasowych.

Panu N. K. w Wągrówcu. Zgłoszenia w kopertach zamkniętych nadsyłać należy: „Do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. D. L.“ Bliższej informacyi w tej sprawie udzielić nie możemy.

Panu T. Theurichowi w Gnieźnie. Należy włożyć podziurkowaną trzcinę do klatki.

P. Fran. Olejnik. Uprzejmie dziękujemy. Wiadomość już przyszła za późno.

P. Pietrzak. Oberhausen. Serdecznie dziękujemy.

P. Wojciech Bos. Swiekatowo. Bardzo wdzięczni jesteśmy za okazaną życzliwość.

P. Znaniecki. Dziękujemy za wiersze. List pański odesłaliśmy do J. Leitgebra, księgarni w Poznaniu.

Ks. Maks. Piech. Czy przyjmiemy do druku — odpowiedzieć możemy dopiero po otrzymaniu całego rękopisu.

Panu Franciszkowi Skorupie i towarzyszom w S. (Górny Szlązk). Przepisy i rozporządzenia władz rosyjskich nie są nam znane. Skargę należałoby zdaniem naszem wysłać do konsula niemieckiego, ale bardzo wątpimy, czy by odniosła pożądany skutek.

Odpowiedzi Administracyi.

Panu K. Stachowskiemu w Chicago. Przesłana kwota starczy aż do 1 stycznia 1900 r.

Kalendarzyk historyczny.

28. 8. 1794. Prusacy przypuścili drugi szturm do Warszawy.

30. 8. 1794. Wojsko polskie urządziło z oblężonej Warszawy wycieczkę.

Zagadka premiowa z historyi polskiej.*)

Który z królów polskich nazywał Szlązk swym krajem ukochanym, gdzie i kiedy pobił na Szlązku Czechów, kiedy się urodził, jak długo panował — i w którym roku umarł?

Rozwiązanie zagadki premiowej z historyi polskiej z nr. 33-go „Pracy“.

W bitwie stoczonej pod Somo-Sierrą w Hiszpanii, dnia 30 listopada 1808 roku nastąpił świetny atak jazdy polskiej pod dowództwem Kozietulskiego.

Dobre rozwiązanie nadesłali:

Z Poznania:

Pp. Feliks Rakowski, Mieczysław Au, Józef Tyrakowski i Antoni Parzysz.

Z prowincyi:

Z Wrześni (Zawodzia): p. B. Gorzeński.
Z Kępna: p. S. Bielarz.
Z Ostrowa: p. Władysław Kubicki.
Z Szamotuł: p. Bronisław Dudnicki.
Z Kaźmierowa: p. Jan Sobieszczyk.
Z W. Lasków: p. Stepczyński.
Z Białożewia: p. Janina Sosińska.
Z Pogódek: p. Ignacy Piotrzkowski.
Z Piesna: p. Bernard Gniot.
Z Jaksic: p. A. Wolska.
Z Wroniaw: p. Zagierski.

Z Prus Zachodnich:

Ze Swiecia p. Konstancya Grzenia.
Z Reszk: p. J. Grünholz.
Z Sumina: p. M. Cichowski.

Z Górnego Szlązka.

Z Gliwic: p. Emanuel Jan Biskupek.
Z Lublinic: p. W. Kiser.

Z Galicyi.

Z Krakowa: p. Władysław Michalski.

Z obczyzny:

Z Rauxel (Westfalia): pan Ludwik Cieślik.
Z Karlstadt (Bawarya): p. K. Krynicki.

Nagrodę otrzymał przez wylosowanie p. Władysław Michalski z Krakowa.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę, t. j. książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. — Rozwiązania przyjmujemy tylko do wtorku rana, dnia 29 sierpnia. — Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

HUMORYSTYKA.

Piła Dreyfusowa.

Na świecie taki tryb zaprowadzono,
Że wszystko koniec ma. I nawet łono
Rzeki się zmienia, wobec tego względnie
Byt rzek się kończy. Kwiat wzrasta i więdnie.
Gdzie była góra — tam bywa dolina,
Słowem, się kończy wszystko — co zaczyna.
Rodzą się, potem giną różne ludy,
Kończą się smutki, wesołość i nudy,
A gdy mam prawdę streścić należycie,
Miewa swój koniec nawet ludzkie życie,
Nawet dąb, żyjąc lat dwieście lub trzysta,
Z nieśmiertelności prawa nie korzysta.
Bo na tym świecie wszelki twór się kończy,
Koniec, zwan śmiercią, niby chart lub gończy,
Każe mu czynić z świata tego susa...
. . . .
I tylko jedna, jedyna, Dreyfusa
Sprawa tę własność posiada niezwykłą,
Że jej istnienie sprawą jest nie nikłą.
Kto zacz jest Dreyfus?... Jest to ex-kapitan,
Co się wkradł na świat nie proszon, nie pytan,
Którego istność — zupełnie jak plaga
Od lat już wielu kulę ziemską smaga,
Dreyfus to taka natrętna osoba,
Której się nudzić nas na śmierć podoba...

Kto to jest Dreufus? Ludzkości łaskawa,
To niby czarno malowana nawa
Pod godłem: „Piła“. To takie narzędzie,
Co nie umilka i milczeć nie będzie,
Synonim wrzawy, to symbol opinii
Co od lat tylu szum w uszach nam czyni.

I nie zna Dreyfus końca, tylko jeden:
W trwałego bytu pogrążył się Eden,
I niby Feniks od śmierci daleki,
Przetrwa już chyba epoki i wieki,
On jeden zada kłam prawdzie utartej.
Że śmierć i koniec dla niego — to żarty.

I potrwa sprawa Dreyfusa jak trwała:
Zmieni się globu kształt i postać cała,
Zmienią się czasy, zmienią pokolenia,
Tylko Dreyfusa sprawa się nie zmienia
I zbrojna w głośnej reklamy orędzie,
Jako już trwała, tak wieki trwać będzie.
. . . .
Sprawa Dreyfusa — to jest piła tępa;
Raz galopuje, to znów kroczy stępa,
To się utai, niby w klatce tygrys,
To jak lew znowu... skoczył i wnet wygryzł
Kęs ciała famie, niewinnej gazeli,
Strojnej w druk, niby dziewczę całe w bieli.

I trwa bez przerwy Dreyfusowy pożar:
Iluż on ludzi i obozów pożarł!
Aż wspomnieć straszno i aż serce boli...
Dał się we znaki komu? Nawet Zoli,
Który, pomimo że taki radykał,
Z powodu sprawy po świecie umykał.

I nie ostała się mężna a harda
Wobec Dreyfusa osoba Piquarta;
Dreyfus stek ludzi posiekał na zrazy:
Gonse jęczał prawie, płakał Esterhazy,
I — nie tykając kwestyi *a priori* —
Poci się nad tą sprawą wciąż Labori.

Sprawa Dreyfusa — to odmęt, to chyba
Na Lewiatana podobieństwo, ryba,
Której nie schwyta nigdy nikt, nie złowi...
. . . .
I latopisy tylko gazetowi,
Widząc w tej rzeczy zatrudnienie miłe,
Tępią co chwila już zbyt tępą piłę.

A czytelnicy?... Schudnęli jak szczudła,
Czytając sprawę, cała ludzkość schudła,
Kto miał logikę — stracił już ją pono,
Morskiego węża z niej wszak uczyniono,
Dreyfus wieczorem i Dreyfus na rano...
I tak świat jęczy pod piłą drewnianą. *fr.*

Roztropny kolonista.

Letnik do właściciela chałupy, wynajętej na letnie mieszkanie:

— Hej, gospodarzu, a dla czego trzymacie świnię w sieni?

— A bo co?

— To niezdrowo.

— Bogać tam niezdrowo! Jeszcze mi świnia ani razu nie chorowała.

Zamiast jednego, dwa nieszczęścia.

— Podobno Iks ożenił się.

— A tak.

— Dla czego mi to mówisz z tak kwaśną miną?

— Bom pragnął, aby to małżeństwo doszło do skutku!

— A teraz?

— Teraz nietylko on, ale i jego żona pożycza odemnie pieniędzy.

Gwiazdka.

Dziewczę lube, czemu ranisz
Moje serce tak uparcie?
Powiedz lepiej, czego żądasz,
Powiedz szczerze i otwarcie.

Ja ci niebios chcę uchylić,
Ja otworzę ci podwoje
Wszechrozkoszy i Edenu...
Czego żądasz, dziewczę moje?...

Czego żądam... czego żądam?
Więc ci powiem, kiedy trzeba...
Daj mi zatem gwiazdkę, luby,
Z błękitnego daj mi nieba!...
. . . .
Pobiegł luby gwiazdki szukać,
Śmiał się przytem śmiechem Nicka!
A gdy wrócił, dał swej lubej
Gwiazdkę śliczną... lecz z piernika!

Ze światka dziecięcego.

Rozmawiają Staś i Jaś pomiędzy sobą.

— Wiesz Jasiu, tobie dobrze! Was jest czterech braciszków w domu, a ja jestem jeden i muszę być za czterech grzecznym.

Na prowincyi.

A więc, panowie, wybierzmy na naczelnika straży ogniowej naszego kochanego aptekarza.

— Protestuję!

— A to czemu?

— Bo jak zacznie odmierzać nam wodę do sikawek po aptekarsku, to całe miasto z dymem pójdzie.

Konsultacye.

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— Prawda, gorączka, sapanie.
Gwałtem potrzebna ochłoda!
Jedyna rada, mój panie
Woda, woda tylko *woda.*

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— Prawda, kaszel, o mój Boże!
Pewno dusić już zaczyna;
Nic tu teraz nie pomoże
Tylko *chinina*, jedna *chinina.*

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— Prawda, w piersiach jak grzechotka,
Kole bok, jak gdyby śpilką;
Nie widzę innego środka —
Jeden *kumys, kumys* tylko.

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— Prawda, zajęte oskrzela.
A szczególniej prawa strona,
Wyzdrowiejesz — bagatela!
Winogrona! winogrona!

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— Prawda, to żółć tak rozlana,
Bardzo się boję napadu,
Natychmiast wyprawiam pana,
Do *Karlsbadu*, do *Karlsbadu.*

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— Prawda, że okropnie dusi,
Wali jak młotem w tętnicy,
Natychmiast jechać pan musi
Do *Krynicy*, do *Krynicy.*

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— Prawda, pragnienie pan czuje,
Choroba w pełnym rozwoju!
Stanowczo mu rozkazuję
Siedzieć kamieniem w pokoju.

Doktorze, ratuj! pierś pęka!
Wychudłem, patrz, jaka ręka!
— No, jeszcze to nie suchoty;
Proszę nie tracić na duchu,
Jedno masz pan do roboty —
Ruchu, jak najwięcej *ruchu!*

Doktorowie! pierś mi pęka!
Schudłem, patrzcie, jaka ręka!
— Zaraz zrobi się narada,
Co czynić będziemy wiedzieć
. . . .
Chinina! Karlsbad! orszada!
Kumys! woda! chodzić! siedzieć!
— Aj ratunku! pierś mi pęka!
— Oho! koniec! — już nie stęka.

W Poznaniu.

Wieśniaka zaprowadzono do ogrodu zoologicznego. Stanąwszy nad stawem z łabędziami, zaczął oczy ocierać.

— Czego płaczesz, Walek?

— Te duże ptaki przypomniały mi moje gęsi, które lis podusił.

Wioska 700 mórg pod Obornikami, ziemia pszenna, budynki murowane jak forteca, **śliczny dom mieszkalny**, gospodarstwo bardzo zasobne, inwentarz silny, rasowy, **przy zaliczce 30,000 mk.** za 170,000 marek. Of. upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 40.

Folwark 350 mórg pod Chodzieżą, ziemia dobra żytnia, budynki dobre, dom mieszkalny wygodny, wystarczający inwentarz, dobrze obsiane, **przy zaliczce 18,000 marek** za 63,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 46.

Folwark (gburstwo) 250 mórg, ziemia pszenna I klasy, **zaraz przy Lesznie**, dogodny dom mieszkalny, dobre budynki, ładny inwentarz i t. d., **przy zaliczce 20,000 mk.** za 125,000 mk. Of. upr. do Eks. „Pracy“ pod No. 48.

Folwark 370 mórg, tuż przy Trzemesznie, ziemia bardzo dobra i w wysokiej kulturze, gospodarstwo bardzo wzorowe, ładne budynki, okazały dom mieszkalny, silny inwentarz, **przy zaliczce 40,000 mk.** za 115,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 52.

Folwark (wolne sołectwo) 260 mg. pod Obornikami, ziemia bardzo dobra, doskonałe budynki **piękny dom mieszkalny o 8 pokojach w ogrodzie**, ładny inwentarz, **przy zaliczce 24,000 mk.** za 55,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 153.

Folwark 370 mg. pod Gnieznem, ziemia pszenna, piękne budynki, **bardzo ładny dworek w obszernym parku**, tylko landszaftą obciążone, **przy zaliczce 15 tysięcy marek** po 210 mk. za morgę. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 156.

Folwark 200 mórg w kościańskiem powiecie, incl. 40 mórg nadobrzańskich łąk, budynki masiw, obszerny dom mieszkalny, **bardzo ładny i silny inwentarz**, przy zaliczce 12,000 mk. po 300 mk. za morgę. Hipoteka uregulowana, gospodarstwo bardzo zasobne. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 58.

Folwark 550 mg. pod Poznaniem, leży na końcu dużej wsi, **folwark sam dla siebie**, bardzo ładny dom mieszkalny, dobre budynki murowane, piękny park, **ziemia znakomita pszenna**, bardzo wygodna komunikacya, silny inwentarz, gospodarstwo zasobne, wzorowe i w kulturze, **przy zaliczce 45,000 marek** za 150,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 78.

Folwarczek 120 mg. pod Obornikami bardzo ładnie i sam dla siebie położony, budynki murowane, wygodny dworek o 4 pokojach i kuchni w ładnem ogrodzie, ziemia do połowy pszenna do połowy żytnia, w kulturze, z kompletnem inwentarzem, **przy zaliczce 12,000 mk.** za 25,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 162.

Folwark 500 mg. pod Obornikami, ziemia do połowy pszenna, reszta dobra żytnia, budynki w porządku, dostateczny dom mieszkalny, gospodarstwo w kulturze, hipoteka uregulowana, **przy zaliczce 30,000 mk.** za 111,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 79.

Folwark 400 mg. pod Kościanem, ziemia kościańska znakomita, budynki dobre, dostateczny inwentarz, **ładny dworek o 6 pokojach**, świetne polowanie, **przy zaliczce 36,000 mk.** za 100,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 161.

Folwark 600 mg. incl. 100 mórg lasu, z wodnym młynem, pod ***Zbąszyniem,*** ziemia dobra, budynki w porządku, ładny dom mieszkalny, nadzwyczaj silny inwentarz, przy zaliczce 45,000 marek za 120,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 118.

Folwark 750 mg. w okolicy Ostrzeszowa, ziemia zdrowa żytnia, dobre budynki, ładny dom mieszkalny, dobry inwentarz, **z zaliczką 15,000 mk.** po 120 marek za morgę. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 188.

Folwark 350 mg. z młynem wodnym, pod Czarnkowem, ziemia średnia, dobre budynki, dostateczny dom mieszkalny, **przy zaliczce 20,000 mk.** za 55,000 mk. Oferty upr. do Eksp. „Pracy“ pod No. 164.

Ważne
dla przemysłowców i kupców.

Aby zjednać nowych Czytelników w ciągu Września rozsyłać będziemy w niebywałej dotychczas ilości okazowe numery „Pracy“ tak, iż nakład wynosić będzie

co najmniej 20 tysięcy.

Nie będzie ani jednej wioski tak małej, do której by nie dotarł numer „Pracy.“ Wobec tego

nieobliczalne korzyści

zapewnić sobie mogą kupcy i przemysłowcy przez anonsowanie w „P R A C Y“ we Wrześniu.



Gustownie, ✻ ✻ ✻ szybko, ✻ ✻ ✻ tanio

wykonuje

Ozdobne plakaty,

cyrkularze,

cenniki z illustracyami lub bez,

afisze, karty zaręczynowe, polecające i t. p.

Druki kolorowe i złocone.

Bilety wizytowe

(od 1 mr. 50 fen. za 100 sztuk).

Koperty i listy firmowe i t. d. i t. d.

Specyalność:

książki, ✻ ✻ katalogi, ✻ ✻ cenniki.

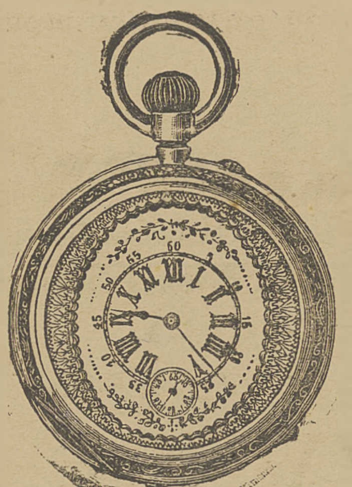
Drukarnia „PRACY“

Telefon Nr. 295. Poznań. Rycerska ul. 38.

Baczność Rodacy!

Udawajcie się do fachowych zegarmistrzy z całem zaufaniem, a nie do handlarzy, jakich tutaj w W. Ks. Poznanskiem mamy — bo rzetelną gwarancyą może dać fachowy zegarmistrz, a takim jest ***W. Cichowicz, polski fachowy zegarmistrz w Ostrowie (Ostrowo Bez. Posen).*** 188

Tylko rzetelna 5-cioletnia gwarancya, której handlarz sumiennie udzielić nie może, bo musi się na ludzi spuścić, gdyż sam nic nie rozumie.



Czysto srebrny ze złoconym brzegiem kluczykowy od 11, 12 do 20 Mr., remontoarowy na 6 i 10 kam. po 12, 14, 16, 18 do 40 Mr.



Złoty zegareczek tylko z najlepszym werkiem na 10 kamieniach od 18, 20, 24, 26 do 300 mr. srebrne od 11, 12, 13, 15, 16, 18 do 30 marek.



Złoty od 7, 10, 14, do 32 mr., damski od 4, 5, 7, 9 do 20 marek.



Kolczyki w różnym gatunku po 4, 5, 6, 7 do 15 marek. Kreole od 8 do 60 marek.



Em. śpilczka 1 m. srebrna od 1,50—3

Jedyne najrzetelniejsze źródło zakupna zegarków i biżuteryi od najdroższych do najtańszych. Kolczyki, broszki, pierścionki, bransoletki, łańcuszki srebrne, złote, double i niklowe zawsze w wielkim wyborze. Regulatory, zegary salonowe, zegary ścienne, budziki i narodowe zegarki kieszonkowe w wielkim wyborze.

Proszę się przekonać, a zaręczam za rzetelną obsługę. Cenniki wysyłam darmo i franko. Prosząc o łaskawe poparcie Szanownych Rodaków piszę się

Z wysokim szacunkiem

Waleryan Cichowicz, *zegarmistrz i złotnik w Ostrowie.*

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

588 **28.000 marek.**

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach.

John Fowler & Co. Magdeburg.

Bank Parcelacyjny

E. G. m. b. H.

w Poznaniu na Piekarach Nr. 18

1) nabywa *za gotówkę* i sprzedaje *na upłatę:* dobra, folwarki i gospodarstwa, parcele i place pod budowle, oberze, wiatraki itp.

2) przeprowadza regulacye hypotek:

3) ma każdego czasu do sprzedania *5 proc. hypoteki pierwszomiejscowe* a

4) kasa oszczędności Banku tego płaci nadal od *depozytów* 4 ½% za kwartalnem, a 5 ½% za półrocznem wypowiedzeniem. 849

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier K. OSSOWSKI,

Międzynarodowe Biuro Patentowe

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

J. K. Jasielski

adwokat ludowy

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

w Poznaniu,

Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Mydło

kupuje się najkorzystniej u

St. Żychlińskiego

w Gnieźnie 796

Fabryka i skład przy Wawrzyńca, filia przy Farnej.

30000 marek

trzeba zapłacić do 1-go Października r. b. za plac zakupiony do budowy kościoła Panny Maryi w Berlinie. 15,000 katolików, pomiędzy nimi ***4—5000 Polaków*** proszą cię, kochany czytelniku, jak najserdeczniej, abyś im pomógł przy zebraniu owej sumy. 141

Do budowy nie mamy jeszcze ani grosza. Prześlij zatem z miłości ku ***Matce i Królowej twej świętej*** choć mały datek na wybudowanie tej świątyni. Przyjmij już naprzód serdeczne „Bóg zapłać."

Ks. JEDER,

zarządzca parafii Panny Maryi.

Berlin S. O., Wrangelstr. 84.

231 **St. Brzeski,**

Poznań, św. Marcin Nr. 64.

Warsztat elektro-mechaniczny.

Biuro instalacyjne

telefonów, światła i dzwonków elektrycznych, gromochronów i t. p.

Handel i fachowy warsztat welocypedów.

Gen. zastępstwo kołowców i automobili

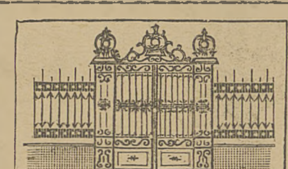
„Falke."

J. Wolniewicz, Kostrzyn.

Pokrywanie dachów, wież, kościołów

łupkiem, dachówką, gątami. 193

Wykaz z wykonanych pokryć kościołów i pałacy na żądanie.

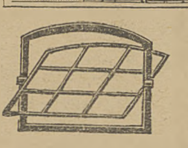


St. Urbanowicz

we Wrześni.

Premiowany medalami 70 państwowemi

zakład ślusarski.



Wykonuje na prowincyą dla Panów Budowniczych i Posiedzicieli podług każdych rozmiarów okna wszelkie z kutego żelaza spiesznie i wysyła franko do każdej stacyi.

Zakład dentystyczny.

Kaźmierz Perkitny

ulica św. Marcin nr. 26 I.

Polecam się do wykonania 180

wszelk. prac dentystycznych.

Specyalność:

Zęby sztuczne bez płyt, plomby złote,

dalej wykonuję wszelkie **operacye zębów bez najmniejszego bólu.**

Ceny jak najprzystępniejsze.

Kilkoletni pracownik lekarza-dentysty

w Poznaniu.